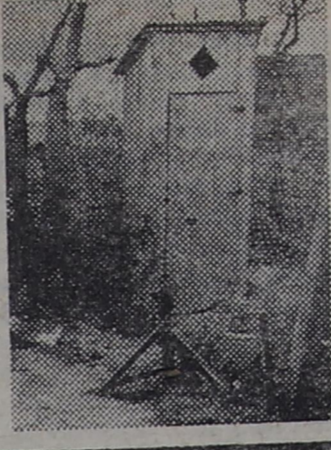


świadectwo  
niedojrza-  
łości



szkoły  
Borynów



wczasy  
z kartką



z drugiej  
strony  
pompy

# KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

45

(72)

KONTAKTY  
15.XI.1981  
Cena 6 zł



Fot. GABOR LORINCZY

28.10.1981

**w samo  
południe**

Na krótko przed zapowiedzianym strajkiem ostrzegawczym rozesła-  
liśmy reporterów do łomżyńskich zakładów pracy oraz partyjnego i so-  
lidarnościowego „centrum dowodzenia” i informacji. Tak powstał za-  
pis strajkowej godziny, skłaniający nie tylko do doraźnych refleksji.

(str. 8-9)

## rezy- gna- cja

DANUTA  
WRONISZEWSKA

Po roku czasu nikt o tym nie mó-  
wi, prawie nikt nie pamięta dokład-  
nie. Niektórzy żalują tego odejścia,  
inni twierdzą, że Skrodzki dobrze się  
czuje tam, gdzie jest, więc nie war-  
to do sprawy wracać. Nie warto, czy  
po prostu niezręcznie? Niektórym  
pewnie trochę głupio, że bezmyślnie  
powtarzali te nieprawdopodobne  
plotki na jego temat.

Rok temu, w październiku, na dob-  
rze szalała Odnowa. Moralna przede  
wszystkim: otworzyły się serca na  
krzywdy i niedole, oczy na niepra-  
widłowości, usta do oskarżeń i uszy  
— na plotki. Cała Polska żyła sen-  
sacyjnymi doniesieniami o skorum-  
powanych prominentach. Oficjalnie  
potwierdziły się przypuszczenia o ich  
daczach i pałacach, o kontaktach w  
szwajcarskich bankach, machlojkach  
i prywatnie. Zaczęto też baczniej  
przyglądać się swoim lokalnym de-  
cydentom. A może i oni, w mini-  
skali? Do wszystkich instytucji dba-  
jących o praworządność, do redakcji  
pism, oddziałów „Solidarności” syp-  
nęła lawina donosów — anonimow-  
wych i podpisanych, indywidualnych  
i zbiorowych, prawdziwych i fałszy-  
wych.

— Na mnie nie było żadnych ano-  
nimów. Wykryto natomiast naduży-  
cia materiałowe na wartość około  
milion złotych w kolneńskiej Spół-  
dzielni Kótek Rolniczych. Ponieważ  
SKR wykonywał mi kiedyś pewną  
usługę, byłem również przesłuchawa-  
ny w charakterze świadka. Rzecz u-  
ważałem za normalną i nie przypu-  
szczałem, że to wystarczy, aby  
w miasto poszła plotka, że dopuści-  
łem się ogromnych nadużyć i że  
mnie posadzą. Dwa miesiące ludzie  
opowiadali sobie, że mam dwa samo-  
chody i żuka, że wystawiłem dz. ecia-  
kom wille, że mam te opowieści do-  
tarły do mnie. Chociaż były to śmiesz-  
ne historie, potraktowałem sprawę  
poważnie i, mimo że po wstępnych  
przesłuchaniach ani Prokuratura ani  
WKPP nie dopatrzyły się żadnego  
przestępstwa, prosiłem o dokładne i  
pełne wyjaśnienie tak, aby sprawa  
nie wróciła znów za pół roku czy za  
kilka lat. Bo przecież od tego remon-

CIĄG DALSZY NA STR. 5

**NAJCZĘŚCIEJ POWTARZAJĄCA SIĘ TEMATYKA** przeprowadzanych obecnie zebrania organizacji partyjnych to „Zadanie partii po IV i V Plenum”. Często uczestniczą w nich przedstawiciele komitetów miejskich i gminnych oraz Komitetu Wojewódzkiego. I sekretarz KW, Włodzisław Michalak odwiedził grajewską „Pasmanię” i spotkał się z aktywem partyjnym w Wysokim Mazowieckiem, sekretarz Mieczysław Czerniawski przebywał w Zakładach Płyt Włókowych, a przewodniczący WKPP, Mirosław Szalunas — w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej.

**NA PLENARNYM POSIEDZENIU** Zarządu Wojewódzkiego ZBOWiD w dniu 19 października odznaczono 32 osoby za udział w walkach w okresie II wojny światowej i za wybitne zasługi w pracy zawodowej i społecznej po wyzwoleniu. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski odznaczono Henryka Cywińskiego, a Krzyżami Kawalerskimi: Aleksandra Krasnowskiego, Tadeusza Makowskiego, Jana Murawskiego, Czesława Nowosielskiego, Jadwigę, Barbarę Onyszkiewicz-Hoszowską, Stanisława Piętkę, Teodora Skorbuta, Celinę Tollach, Franciszka Dardzińskiego, Mieczysława Króla, Czesława Janickiego, Romana Mariankowskiego, Tadeusza Kozłowskiego. Podjęto również rezolucję, w której oświadczono m.in.: „[...] dzisiaj, w okresie kryzysu, jaki dotknął naszą gospodarkę narodową mamy prawo i obowiązek być zwarci, zintegrowani i w jednolitym froncie pokonywać trudności z jakimi boryka się nasz naród. W tych trudnych chwilach nie wolno nam dzielić się na grupy i mieć różne poglądy na jedną i jedyną wspólną sprawę — dobro naszej Ojczyzny. Nie sprostamy zadaniom, nie wypełnimy naszego patriotycznego obowiązku dźwignięcia gospodarki z kryzysu, jeżeli damy się poróżnić, jeżeli zeszlibyśmy z jedynej słusznej drogi budowy socjalizmu pod kierunkiem PZPR i stronnictw politycznych przy poszanowaniu sojuszy i zobowiązań międzynarodowych.

**WOJEWÓDZKA ORGANIZACJA** PARTYJNA zainaugurowała w ubiegłym tygodniu program szkolenia ideologicznego. Trudna sytuacja kraju i nawastrawiające się problemy wymagają wyjaśnienia i rzetelnej partyjnej argumentacji. Szkolenie realizowane będzie w pięciu grupach problemowych: kandydatki, najmłodszych członków partii, szkolenie powszechne, kursy dla aktywu i Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu i Leninizmu. Tegoroczne szkolenie partyjne obejmie też młodych członków partii z Kolna, Zambrowa, Grajewa, Łomży i Wysokiego Mazowieckiego.

**WYDZIAŁ PRACY IDEOWO-WYCHOWAWCZEJ** Komitetu Centralnego PZPR przyznał medal pamiątkowy za aktywną działalność w upowszechnianiu marksizmu-leninizmu i polityki partii 13 wykładowcom i lektorom KW. Otrzymali go: Edward Szulgo, Ryszard Zieliński, Halina Wiśniewska, Marian Latos, Jerzy Baczewski, Anatol Ochryciuk, Janusz Gwardiak, Jan Rachubka, Kazimierz Kiczynski, Józef Włóczkowski, Zdzisław Sedziak, Zdzisław Laskowski, Aleksander Żalewski.

**W ŁOMŻY** obchodzono uroczyste 64 rocznice Wielkiej Rewolucji Październikowej. Referat okolicznościowy wygłosił przewodniczący WK SD, Marian Mieszkowski. Koncert Łomżyńskiej Orkiestry Kameralnej był bardzo udany. Szkoda tylko, że przyszło niewielu słuchaczy.

**NA SPOTKANIU ZETEMWU-EMOWSKICH POKOLEŃ** przybyli znani działacze PZPR, ZSL, pracownicy wojewódzkiej administracji państwowej, wywodzący swój społecznikowski rodowód ze Związku Młodzieży Wiejskiej. Nie zabrakło również nestorów tejsze organizacji. Ignacy Bukowski, jeden z założycieli ZMW „Wici” we wsi Górki Sympliczne, powiedział: — Myśmy nie oglądali się na dotacje. Na wszystko musieliśmy zarobić sami. Chcieliśmy dom ludowy, więc postanowiliśmy przetrwać na ten cel pieniądze z zabaw, zbieraliśmy składki. I nie to, że nikt nam nie chciał pomóc. Gmina deklarowała fundusze, lecz w zamian liczyła na uzależnienie nas od siebie. Podziękowaliśmy jej.

Na spotkaniu pokoleń wszyscy podzielali opinię, że jeśli organizacja ma stać się autentycznym wyrazicielem pragnień dzisiejszej młodzieży wsi, musi potrafić wrócić do tradycji, a jednocześnie znaleźć własne, współczesne rozwiązania. Między-

kolniowych zgrzytów nie brakowało, ale chyba wszyscy zrozumieli, że choć i czasy różne i problemy, to chodzi im o dobro wsi.

„ZARZEWIE”, tygodnik Związku Młodzieży Wiejskiej powraca do swoich czytelników. W deklaracji redakcyjnej odnowionego pisma czytamy: „Odrodziliśmy się — wbrew przekonaniu, że 2 maja 1976 roku „Zarzewie” umarło na zawsze. Przez ponad 5 lat, prawie 300 tygodni nieobecności, Czytelnicy nadal pisali do „Zarzewia”, nie wykreślili go ze swojej świadomości — podobnie jak wiele kół ZMW nie zaakceptowało faktu likwidacji Związku.”

Zespół Redakcyjny „Kontaktów” życzy udanej batalii o naprawę Wiejskiej Rzeczypospolitej, wspaniałych reportaży, najlepszych korespondentów terenowych oraz samych złotych i srebrnych pioru dziennikarskich.

**MIEJSKA INSTANCJA PARTYJNA** w Łomży na posiedzeniu plenarnym w dniu 16 października postanowiła m.in.: 1) uznać materiały własnej Komisji Statutowej jako wytyczne do działania dla całej miejskiej organizacji. Zakładają one m.in. wypracowanie systemu konsultacji i badania opinii członków partii oraz rozszerzenie pracy partyjnej o nowe formy autentycznej działalności społecznej; 2) zalecić miejskim jednostkom administracyjnym i gospodarczym wykonanie wniosków zawartych w materiale komisji problemowych, dotyczących m.in. usprawnienia pracy handlu oraz zaopatrzenia w opał społeczeństwa na okres zimy; 3) powierzyć opiekę nad tworzeniem samorządów pracowniczych i wdrażaniem reformy gospodarczej własnemu Zespołowi ds. Wymiany Doświadczeń i Współpracy.

**KOMITET MIEJSKI PZPR** w Łomży zaapelował do sekretarzy POP o rozprowadzanie wśród załóg idei szerszego włączenia się do pracy w niedosłuch bundyku KW. Apel odniósł natychmiast skutek: na budowie się ożywiło. Np. co poniedziałek pracuje 30 osób z ŁZPB „Narew”, a codziennie trzech słusarzy, również z tego zakładu. Mamy nadzieję, że „linki inicjatywne organizacji partyjnych i „Solidarności”, nie będziemy czekać latami na nowe przychodnie lekarskie i pogotowie. Przypominamy że wszystkie zakłady i instytucje mogą się włączyć do tej akcji, zgłaszając się do czynów społecznych lub ofiarowując kwoty pieniężne.

**Z INICJATYWY ŁOMŻYŃSKIEGO TYGODNIKA SPOŁECZNEGO „KONTAKTY”** powstało w Łomży Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka”. Zrzesza ono osoby zainteresowane gromadzeniem, badaniem i opracowywaniem dawnej i współczesnej prasy regionalnej oraz wydawaniem prac popularnonaukowych na ten temat. Jego celem jest opracowywanie historii miejscowej prasy, stworzenie regionalnego ośrodka dokumentacji prasowej, rozszerzenie opieki nad amatorską działalnością wydawniczą, organizowanie — wspólne z redakcją „Kontaktów” i Towarzystwem Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej — Muzeum Straszdeł, Demonów i Niesamowitości. Członkiem stowarzyszenia „STOPKA” może być każdy zainteresowany jego celami, który pragnie je wspierać lub bezpośrednio realizować.

**POP PZPR PRZY REDAKCJI „KONTAKTÓW”** wystosowała do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej list następującej treści:

## pytanie drażliwe

Jak można stworzyć wielki ład bez mądrości mas. Bez ich rady nie znajdziecie drogi dla zbyt wielu.

Wy, wielcy nauczyciele, słuchajcie, gdy przemawiacie!

(Bertold Brecht)

## zdanie tygodnia

Nie wystarczy stać na mównicy, żeby mieć głos. (sekretarz KM-G PZPR, Grajewo)

## myśl z atestem

Nieszczęściem jest, iż doświadczyliśmy do tego, że najlepszym probierzem prawdy jest mnogość wierzących (Montaigne)

względem na trudną sytuację ogólnokrajową była mniejsza liczebnie, ale ponoć lepsza jakościowo.

**HURA**, jaka w nocy z 2 na 3 listopada przeszła przez Polskę porażka ogromne szkody. W Grajewie uszkodziła 15 budynków mieszkalnych w mieście i 14 w okolicznych wsiach. Awaria izolatorów spowodowała brak prądu. Została zerwana linia telefoniczna z Radziłowem. W rejonie Wysokiego Mazowieckiego zostało zerwanych około 100 km średniego napięcia i 60 km — niskiego. Z dwóch bloków przy ulicy Manifestu Lipowego wiatr zerwał dachy. Również w Zambrowie ucierpiał dachy i zostało zerwanych kilka linii telefonicznych. Szesa do Łomży została zablokowana przez drzewa i konary. Notabene, przy każdym silniejszym wietrze konary tarasują drogę. Zablokowane były również drogi Kolno-Borkowo i Kolno-Myszyniec. Uszkodzeniu uległo 5 linii telefonicznych, łączących Kolno z gminami byłego powiatu. W Stawiskach zmiołto dach ze szkoły. W Jedwabnem oszacowano już szkody: 350 tys. złotych. W Łomży nie było groźnych awarii, trochę potulczonych szyb i złamanych gałęzi. Jedno drzewo zważyło się na dach przedszkola przy ulicy Świerczewskiego.

**NOWE KOŁO STRONNICTWA DEMOKRATYCZNEGO** powstało w Łomży, z inicjatywy pracowników Pralni Chemicznej. Liczy 16 osób, a jego przewodniczącym jest Stanisław Żytek. Na pierwszym zebraniu mówiono o programie działania SD po XII Kongresie oraz o działalności spółdzielczości pracy.

**WSZYSCY CZŁONKOWIE NSZZ „SOLIDARNOSĆ”** w Banku Spółdzielczym w Grajewie wystąpili ze Związku.

**W SZUMOWIE** 800 osób czeka na węgiel. Nie ma listy, nie ma pierwszeństwa. A co najgorsze — nie ma węgla.

„**SZKOŁA OSZUSTÓW — KURS PODSTAWOWY I ŚREDNI**” wywołała poruszenie załogi Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego w Łomży. Z inicjatywy Komitetu Zakładowego PZPR i NSZZ „Solidarność” odbyło się spotkanie autora publikacji red. Stanisława Zielińskiego z aktywem przedsiębiorstwa. Bliższe informacje przedstawimy w jednym z przyszłych numerów „Kontaktów”.

**NA PROŚBĘ CZYTELNIKÓW** — zasady zakupu towarów reglamentowanych w Łomżyńskim: kartki na cukier dla dzieci upoważniają także do zakupu jednej tabliczki czekolady oraz pół kilograma słodyczy. Osoby powyżej 18 lat mogą kupić na kartki „alkoholowe” 12 paczek papierosów miesięcznie oraz pół litra wódki lub wyciennię — 1 butelkę wina importowanego, 1 butelkę szampana. Bez kartki można nabywać tylko wina produkcji krajowej. Rezygnując z palenia otrzymać mogą 450 gramów słodyczy (norma miesięczna), abstynenci — 100 gramów kawy lub pół kilograma słodyczy. Na kartki „mączne” kupujemy mąkę, ryż i proszki do prania. Kasze (poza mąką) zostały wyłączone ze sprzedaży reglamentowanej. Mydło (1 kawałek) będziemy mogli zakupić na specjalny odcinek kartki „cukrowej” dopiero w grudniu.

## personalia

**KOLEJNY WICEWOJEWODA POZEGNAŁ ŁOMŻE**. Po Wacławie Redlińskim do pracy w Warszawie przeszedł Kazimierz Cłapka, obejmując w Naczelnym Komitecie Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego stanowisko kierownika Wydziału Oświaty, Kultury i Spraw Społecznych. „Kontakty”, a i cała łomżyńska kultura ma wiele powodów, by żałować tego odejścia. Wojewoda kręcił bowiem inicjatywę działaczy, bulwersował pomysłami, które przyspieszały puls wojewódzkiej kultury. Byłemu wicewojewodzie życzymy sukcesów w sterowaniu wydziałową kulturą i oświatą, a jego następcę — trafności decyzji i konsekwentnego ich realizowania.

**OD 1 LISTOPADA** w Jedwabnem urzęduje nowy naczelnik: Eugeniusz Niebrzydowski, lat 37, z wykształcenia inżynier rolnik o specjalizacji maszyn i urządzenia rolnicze. Jednocześnie zwolniło się miejsce I sekretarza KM-G w Jedwabnem.

Redagowanie „Zdarzeń”:  
DANUTA WRONISZEWSKA

Brzask azyenny zbudził się ze snu. Biebrza wijąc się kręto wśród równiny najeżonej tysiącami stogów siana, dymła kłębami oparów. Wieśniacy w Osówce wstają do swoich zajęć (tak jak na całym Mazowszu i Podlasiu) bardzo rano. Z pierwszym braskiem lipcowym ruch rozpoczyna się we wsi na dobre. Otwierają się drzwi chat wiejskich, z których wychodzą gospodarze i witali cudny poranek głośnym poziewaniem. Gospoście i rumiane ich córki wybiegają bosy otwierać chlewiki, z których wybiegały z kwikiem białe i czarne zwierzęta różnej wielkości. Mężczyźni także bosy odpędzali stada gęsi na pastwisko za wioską, wyręczając widocznie pleć nadobną, zajęta przygotowaniem śniadania. Widać było ze wszystkiego, że prawie w każdej chacie posiadano liczne stada gęsi, kaczek, nierogacizny, owiec i tustego bydła. Prawie naprzeciw karczmy widać było dom większy nieco i schludniejszy od innych, może do sołtysa lub dzierżawcy folwarku należący. Również o wschodzie słońca ukazał się przed tym dworkiem w bieli poważny w kształcie męczyzna i z wielkiej tabakierki zażył tabaki z jakąś dynamitową siłą, bo niebawem kichnął tak potężnie, że wróble z najszybszą szopy pierzchy w konopie, a w różnych punktach wioski odpowiadano mu życiowie: „Na zdrowie!” lub: „Wiwat!”

Zejście po drabinie bez szczebli okazało się jeszcze trudniejsze niż wejście. Dokazaliśmy jednak tej sztuki szczęśliwie i podążyli do izby karczemnej. A gospoda w Osóweku była starym i ciekawym typem drewnianego polskiego budownictwa. Wzdłuż całego budynku było od frontu podcienie wsparte na ośmiu rzeźbionych słupach, połączonych łukami. Naprost środkowego łuku w połowie domu była brama wjazdowa i sień na przestrzal. Nad bramą cieśla wiejski wyciął datę: Dic 2 mai A. D. 1769. Gospód podobnych już mało w kraju pozostało. Przyniosłem więc tekę, papier, ołówek, aby odrysować staruszkę, która zresztą postawiona dobrze i z drzewa zapewne ściętego we właściwej porze, czego ojcowie nasi troskliwie przestrzegali, trzymała się nad podziw czerstwo. Gdy zacząłem rysować, okrążyła mnie ciekawa dziatwa wiejska i Żydzieta, kilka kóz i prosiat, a za nimi podsunął się podejrzliwie propinator. Czynność moja wydała się wszystkim zagadką, więc bacznie oglądano w papier tłoczając się ze stron wszystkich, i tak ciekawie śledzono każdy mój ruch i spojrzenie, jak gdyby spodziewano się, że lada chwila dam widowisko akrobatyczne.

Arendarz zdawał się podejrzewać we mnie może urzędnika akcyzowego lub przebrałego celnika. Jakoż, gdy wszedłszy do szynkowni, zapytałem, dlaczego starozakonny jest szynkarzem wbrew przepisom krajowym, arendarz wskazał mi siedzącą nieruchomie pod piecem, zgarbioną we dwoje sędziwą babinę i odpowiedział, że ta chrześcijanka jest szynkarką, że na jej imię wydane są patenta karczemne, a on mieszka w tym domu u niej na „pokomornem”. Oczywiście, uspokoiłem zatrużonego, że nie jestem bynajmniej stróżem obowiązujących przepisów.

Nareszcie przyjechali teraz dopiero nasi wioślarze z obrokiem dla koni, którzy mieli nas poprowadzić w Osówek. Opowiadali, że wieczorem „zie” wyprowadziło ich na manowce i błądzących wodziło całą noc po bezdrożach. Niektórzy utrzymywali nawet, iż widzieli „na własne oczy” diabła w postaci psa czarnego, który biegł niekiedy przed ich końmi, zniknął, to znów ukazywał się chwilkami.

Teraz rozpoczęliśmy dopiero właściwe poszukiwania, których pierwszym owocem była tzw. stacja krzemieniowa pod Osówcem, czyli miejsce, w którym, przedhistoryczni mieszkańcy tego kraju, używający narzędzi krzemienianych, mieli swoją sadybę, wyrabiali narzędzia i gdzie grzebali popioły swoich zmarłych. Oto na prawym brzegu Biebrzy, poniżej wsi Osówca, o kilkaset kroków od rzeki, gdzie rozciągały się obecnie na kilkunastu morgach wydmy piaszczyste, krzakami dębu i jałowca z rzadką porostą, a znaleźliśmy powierzchnię piasków zasianą nalupanym przed wiekami krzemieniem, przez wyrabiających narzędzia z tego materiału. Były tu i tak zwane bełty czyli ostrza od strzał łukowych bardzo misternej roboty, i nożyki krzemienne, i skrobaczki maleńkie, i rdzenie (nukleusy) czyli pozostałe

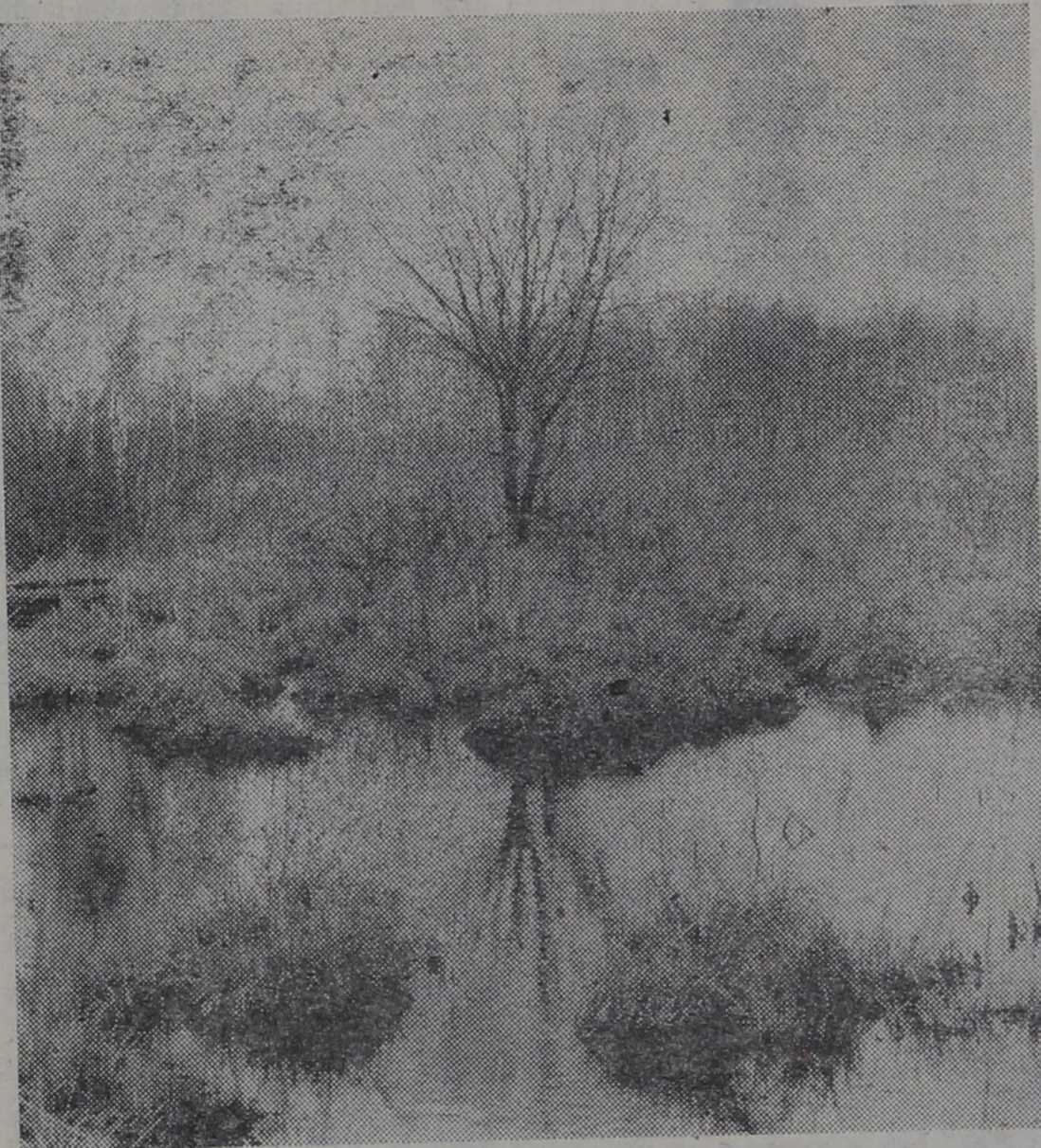
## SPOTKANIA Z GLOGEREM

środku bryłek krzemienianych, i liczne wióry krzemienne czyli okrzeski wąskie, cienkie a długie, i ułamki krzemienianych siekierok szlifowanych. Grube, czerwone czerepy z popielnic, lepienie ręką, bez użycia koła garncarskiego, rozsiadane gęsto w niektórych punktach, wskazywały miejsca, w których były zachowane, a teraz wywiane z piasku te naczynia. Wszystko cośmy znaleźli, było miejscowego pochodzenia, tj. na miejscu wyrobione, i nosiło na sobie pospolity charakter stacji krzemienianych całej Lechji i Mazowsza. Ile minęło tysiącleci od czasu owej epoki do dzisiejszych, tego obliczyć niepodobna. W każdym razie owi użytkownicy krzemienia nie znali jeszcze zupełnie rolnictwa, ale zajmowali się myślistwem, rybołówstwem, zbieraniem dzikich owoców itd. Z postępem kultury tradycja owych czasów tak dalece zginęła, iż setki

to nie babich, lecz pokonanych w boju Turków. Z ciekawością też zbliżyliśmy się do niesionych koszar i z pod pokrycia ujrzeliśmy istotnie coś na kształt pomarszczonej przywędłej ciennej skóry. Przekonaliśmy się wreszcie, że były to smardze, obficie tu zbierane przez ludność wiejską i wykupowane od niej przez handlarzy na wywóz koleją Grajewską za granicę. Lud tylko nie nazywa tych grzybów smardzami, ale ma swoją dla nich nazwę „Babich uszu”, których na pokarm własny nigdy nie używa.

Zaciekawione kobiety pytały nas wzajemnie, co zbieramy na tych piaskach i przyglądały się naszym krzemikom, a gdy im powiedzieliśmy, że te mają dla nas większą wartość niż dla nich „Babie uszy”, odeszły w krzaki, powysypywały w ukryciu swój produkt i rzuciły się co żywo na wydmy piaszczyste do zbierania co największych brył dzikich krzemienianych. Chciałem je objaśnić, że samorodny krzemień nie posiada dla nas wartości, ale posądzony przez

## w dolinie Biebrzy (2)



pokoleń deptały po tych szczątkach prastarego żywota, nie rozumiejąc zupełnie ich znaczenia. Po wytrzebieniu lasu wiatr wywiewał na piaskach drobną przedwiekową pracę ludzi, ich popioły i kości. Wieki miały za wiekami, a nikt nie zwracał uwagi na te krzemiki dziwnych kształtów, na te czerepy z gliny mieszananej z grubo tłuczonym granitem, odmienne zupełnie od dzisiejszych, kruszące się dziś pod nogami ludzi i zwierząt. Aż oto pewnego ranka zjawiła się gromada wędrowców. Obok dwóch starszych kilku młodzieży szkolnej, która nauczona przez pierwszych, czego ma szukać, co podnosić, rozbiegła się po piaskach osowieckich za archeologiczną zdobyczą. Tu i ówdzie znalezione piękniejsze okaz wywoływał okrzyk radości, na który zbiegali się wszyscy do szczęśliwca, by podziwiać, robić swoje spostrzeżenia, pochwalić się tem, co kto znalazł, zapytać się doświadczeńszych i rozproszyć dla nowych poszukiwań po piaszczystej przestrzni.

Przez wydmy te wiodła droga z boru do wsi; na której spotkaliśmy dwie baby, niosące w koszach jakiś produkt. Zapytane co niosą, odpowiedziały jednogłośnie: „Babie uszy”. Przysnam się, iż najniej spodziewałem się podobnej odpowiedzi. Bo w każdym razie nie można było przypuszczać, aby nawet w czasach najstraszniejszego kanibalizmu zdolano zgromadzić taki zapas tego polanego przysmaku. Co najwyżej u oficerów czarnogórskich można było widzieć przyszytych na kamizelce galowej kilkoroz uszu ludzkich, ale i

nie o własny interes, nie znalazłem u archeologów osowieckich żadnej wiary. Nawet nie chciały nam pokazać swoich koszar i uciekły chyłkiem z krzemieniami do wioski.

O niecałą milę powyżej Osówca, na drugim brzegu Biebrzy znajduje się stare podlaskie miasteczko Goniądz. Goniądz w XIV wieku był punktem spornym między Mazowszem a Litwą. W XVI wieku urodził się tu słynny polski arjanin Piotr z Goniądza. Dziś uboga to i licha miejscina, ale rozrzucona na dominujących wzgórzach, z kościołem daleko widocznym i stąd wyglądającym z odległości półmilionowej niby jakie miasteczko powiatowe. Obecnie posiadał Goniądz dwie tylko osobliwości, a mianowicie uczonego proboszcza, znającego gruntownie język hebrajski i posiadającego piękną, choć małą biblioteczkę, oraz starożytny, drewniany piętrowy ratusz w środku rynku, który odrysowałem już dawniej, jako ciekawy zabytek budownictwa.

W Osóweku spuściliśmy nasz okręt z wozu na fale Biebrzy, i gdy młodzi nasi towarzysze wykąpali się w bystrej rzece, jak prawdziwe bobry, żeglowali się pod wodą do miejscowości, w której spodziewałem się odkryć drugą stację krzemieniową. Poszlaki moje okazały się usprawiedliwione i nadzieja ziszczone w zupełności. Wysiadłszy na brzeg lewy, brnęliśmy kawał po grząskim bagnie i przedzieraliśmy przez niezmiernie gęste zarośla, nim dotarliśmy do piaszczystych wydym i pagórków, na których powierzchnia, a zwłaszcza w kotlinach wydmuchanych przez wia-

try, lśnił od blasku słońca nalupany w starożytności krzemień, czerwieniły czerepy pokruszonych popielnic i białełamki podobne do kawałków wapna ułamki ludzkich kości. Były to znów ślady przeddziejowego życia i szczątki prastarego kunsztu tych ludzi, którzy siedzieli swoje zakłady na piaszczystych pagórkach wśród nieprzebranych błot i zarośli w pobliżu wód, gdzie w suchej ziemi można było zabezpieczyć się przed mrozem, zachowywać swoje zapasy i swoje zgłiszczą po śmierci, gdzie rzeka służyła za spizarnię do życia i drogę do podróży. Gdy przez bagna dotarliśmy do piaszczystych pagórków, natychmiastowy okrzyk jednego z moich towarzyszy: „Prześliczna strzałka” — zwiastował, że odkryliśmy drugą starożytną sadybę ludzką i że okazy podobnych będzie pewnie i więcej. Jakoż istotnie kilka z pomiędzy znalezionych tu przedmiotów były prawdziwymi arcydzielniami starożytnej sztuki krzemieniarskiej, doprowadzonej do szczytów najwyższej doskonałości.

Dziś w pobliżu tej stacji leży nad Biebrzą wieś Szafranki. Ze zaś na piaskach pod Osówcem znajdowały się właśnie dwie oddzielne sadyby starożytne, więc pod Szafrankami była trzecia w dniu dzisiejszym przez nas znaleziona.

Okolica Goniądza, stanowiąca dziś północną część powiatu Białostockiego, była niegdyś wąskim przesmykiem Podlasia czyli województwa Podlaskiego, ciągnącego się tędy daleko na północ, bo aż do Augustowa. Obok ogromnego starostwa Knyżyńskiego, które posiadało całe obszary łąk nad Biebrzą, znajdowały się także w tej części Podlasia setki fortun niebogatych, ale gniazdowej i starożytnej szlachty podlaskiej. Wśród wsi: Białosuknie, Kramkowo, Niebiewarowo, Swierzbienie, Ołdaki, Sobieszczki, Downary, gniazda odwiecznych rodzin Białosukniów, Kramkowskich, Niewiarowskich, Sobieszczkowskich, Downarów i Downarowiczów. Trzy wsie: Mońki, Moniuszki, i Moniuszczki są gniazdem rodziny Moniuszków, z której Stanisław, syn także Stanisława, autora „Halki” i „Strasznego dworu”, przeniósł się z tych okolic w głąb Litwy. O dwie mile od Goniądza leży także wieś Jaćwież, która była niewątpliwie jedną z osad Jadźwingów, pokonanych i ustępujących z nad Buga.

Zabrawszy naszą zdobycz krzemieniową do łodzi, którą steruje rybak Dzieńszewski, płyniemy teraz od Goniądza w dół Biebrzy, mając przed sobą do jej ujścia i gościnnego domu państwa de Fleury około ośmiu mil wodnej drogi. O pół mili poniżej Osówca leży wieś Sośnia, oddalona od Biebrzy o wiorstę. Otóż między tą wioską a rzeką, pośród łąk i trzęsawisk, znajduje się duża wyspa, nosząca nazwę „Szwedzkiego mostu” od czasów gdy tędy Szwedzi, idąc z Prus przez ziemie Wizką przeprowadzali się na Podlasie. Od wioski do owej wyspy istnieje dotąd ślad grobli, ale od strony Biebrzy niema już grobli na łąkach ani śladu. Wysiadłszy więc z naszej łodzi, musieliśmy przebrnąć przez kilka starych zarosłych łożysk i odnog rzeki, wyciągając z błota jedni drugich, lub rozbierać się i brodzić przez wodę o dnie czarnem jak smoła, nim dotarliśmy do celu, który wynagodził nam sownie nasze trudy. Oto stanęliśmy na wyspie kilkanaście morgów rozległej a pokrytej piaskiem lotnym, którego powierzchnia była zasiana gęsto nalupanym w starożytności krzemieniem. Jeszcze nigdy i nigdzie nie spotkałem takiej obfitości okrzesków jak tutaj. Widocznie wyspa posiadała dla pierwotnych mieszkańców warunki bytu bardzo dobre, i ztąd musiała być jakąś ludną, niewątpliwie największą w tej okolicy osadą. Pod wpływem tego odkrycia jeden z młodszych towarzyszy moich rzekł do wieśniaka, przyglądającego się naszym poszukiwaniom: „Albo wy wiecie, jakie tu macie skarby na tych piaskach!” Chłopak usłyszawszy o skarbach, podał mi chyłkiem do wioski i zaalarmował sąsiadów. Po chwili ujrzeliśmy całą gromadę, ze wsi Sośni postępującą ku nam poważnie, zwolna. Na jej czele szedł sołtys, chłop wysoki, barczysty, w rogatej granatowej z baranem czapce, z owalną błachą urzędową, na sznurku u guzika wiszącą mu na piersiach. Zbliżywszy się do nas, oznajmił tonem przyzwyczajonym, ale stanowczym, że gromada zabrania zbierać krzemieni



— Na diabła te wszystkie nauki! Po co to dojeżdżanie! Najlepiej jak szkoła na miejscu. Gdy dziecko szybciej w domu będzie, to i przy robocie pomoże.

W wersji resortowej w taki właśnie sposób głęboki teren oświatowy przypominał gotowość przejęcia spraw nauczania w swoje ręce. Wiesz zaczęła zabiegać o swoje, zlikwidowano w wyniku reformy oświatowej, szkoły i szkółki. Gdziekolwiek istniały po temu najmniejsze choćby szanse słano postulaty do kuratorów i ministerstwa o przywrócenie możliwości pobierania nauki jak najbliższej miejsca zamieszkania. Tak szybko, jak wprowadzona reforma zlikwidowała, i źle, i dobrze funkcjonujące szkoły, tak teraz szukano galepem sposobów przywrócenia poprzedniego stanu. W całym kraju rozpatrzone ponad 500 takich wniosków, z czego w samym województwie łomżyńskim — ponad 100.

Czteroletni okres funkcjonowania utworzonych w pośpiechu zbiorczych szkół gminnych nie spełnił bowiem społecznych oczekiwań: nie były przygotowane do tego, by zapewnić dzieciom właściwe warunki nauczania: w klasach panował niepomierny tłok, dojeżdżające dzieci snuły się po korytarzach, gdy skończyły się lekcje, bo nie miały świetlic. Powodem do ciągłych narzekań było dowożenie dzieci. Miały do dyspozycji, w najlepszym wypadku, wysłużone autobusy, traktorowe przyczepy — „bonanzy” — nieogrzewane zimą i zawsze przepelnione; najbardziej dostępnym środkiem lokomocji był rower i własne nogi. A i tak dowożenie do szkół było bardzo kosztowne. Na przykład za dowożone dzieci do Jeziorka płacono 2 mln zł. Jeśli dodać do tego fatalne drogi, po każdym prawie deszczu nieprzejezdne, i kłopoty z paliwem, brak części zamiennych, to trudno dziwić się rodzicom, że z uporem zabrały się do demontażu dotychczasowej sieci szkół. A trzeba pamiętać, że w wielu wypadkach szkoły te zostały pobudowane z dużym społecznym wkładem, a na przykład w Dąbrowie - Nowej Wsi w gminie Czyżew prawie całkowicie z wioskowych funduszy.

Mimo żywiołowego nacisku społecznego władze oświatowe podeszły do tej kwestii nader ostrożnie, badając wszystkie za i przeciw. I tak, we wsiach łomżyńskich z dniem 1 września bieżącego roku powstało na nowo 45 szkół, a w wielu placówkach podniesiono ich stopień organizacyjny. To znaczy: tam, gdzie istniały klasy od pierwszej do trzeciej wprowadzono cztero, sześć, ośmioklasówki. W sumie — 64 szkoły.

Rodzice odetchnęli z ulgą. Już nie muszą, tak jak to było np. w Czarnocinie, odbywać pięciokilometrowych marszów z małuchami, czekać trzy godziny na zakończenie zajęć, a potem znów wędrować tą samą trasą. Szkoła wiejska zbliżyła się do dziecka w tym dosłownym, kilometrowym, wymiarze. W ten sposób częściowo naprawia się błąd, którym było sztywne opieranie sieci szkolnej o dotychczasową sieć osiedleńczą. Nie bądzmy jednak zbyt optymistami — władze oświatowe nie zrezygnowały z dotychczasowej koncepcji zbiorczych szkół, gdyż i ona ma swoje uzasadnienie.

W wielu gęsto zaludnionych krajach, m.in. w Belgii, Holandii, organizacja oświaty opiera się właśnie o taki system. Czy może być inne wyjście dla rozsypanych po kraju przysiółków, wioseczek i wiosek? Nie można inaczej, jak tylko grupować uczniów w szkołach zbiorczych, których sieć należy jednak oprzeć nie o gminne centra, a o zbiorowość wiejską. I ten właśnie zmodernizowany aspekt zadecydował o reaktywowaniu wielu placówek oświatowych. Jakże są korzyści? Usytuowanie szkoły w bezpośredniej bliskości pozagminnego środowiska zwiększyło zainteresowanie rodziców, i nie tylko ich, sprawami szkoły. Choćby taki przykład: w ubiegłym roku łomżyńskie placówki miały wiele kłopotów z opałem; dziś, kiedy w sprawę zaangażowali się naczelnicy gmin, geosowski nadzór, już w październiku zgromadzono na szkolnych placach kwartalny zapas.

Wsi, w których na nowo zaczęły funkcjonować szkoły, zajęły się skrupulatnie i natychmiast mieszkaniami dla nauczycieli. Na przykład gospodarze w Kownatach bez specjalnego namawiania, zmuszania wynajęli najlepsze izby. Nie są to przykłady odosobnione. Samotnych nauczycieli lokuje się często w mieszkaniach z centralnym ogrzewaniem, bieżąca

## OŚWIATOWE SKRĘTY

woda, niejednokrotnie nie muszą się martwić o przygotowanie posiłków, jak choćby w Dąbrowie - Nowej Wsi. Komitety rodzicielskie szybko wyremontowały i odnowiły „swoje” szkoły, wyposażyły je częściowo w sprzęt; nie brakuje im zapału do dalszej poprawy warunków nauki i pracy.

Ten optymistyczny akcent wcale nie rozprasza chmur, jakie otoczyły wiejską szkołę. Jak twierdzą oświatowe władze, stanęła ona już na prostej, z której krok tylko do lat czterdziestych, a więc poziomu nauczania, używając dawnych klasyfikacji, równającemu się zeru. Ośmioklasówki wiejskie, mimo że wycią-

duje się w gminie Nur — aż 65 procent, w Perlejewie — 64 procent, w Wąsoszu — 58 procent.

Powołanie w województwie, pod presją społeczeństwa, nowych szkół wpłynęło na to, że właśnie w nich w przeważającej większości znaleźli się nauczyciele nie przygotowani do zawodu. Tam też głównie zatrzymali się młodzi ludzie, z dopiero co otrzymanym świadectwem maturalnym, czasem niedoświadczeni, którzy pracę w szkole potraktowali jako sposób na przeczekanie.

I tak, misternie przygotowana koncepcja specjalizacji przedmiotowej nauczycieli, wysokokwalifikowanych kadr, rozspuła się w zetknięciu z rzeczywistością. Specjalizacja tych nowo przyjętych do zawodu wyglądała mniej więcej tak: bardzo lubił w szkole średniej geografii, więc wiejskie dzieci naucza geografii, więc piątkę na maturze z rosyjskiego, więc będzie uczył tego języka; lubił dzieci, więc może uczyć w najmłodszych klasach.

Próby przyciągnięcia wykwalifikowanych nauczycieli na wieś z reguły kończą się niepowodzeniem. Ustabilizowanych trudno ruszyć — pozostają tylko absolwenci szkół wyższych. Wśród nich istnieje jednak wyraźna niechęć do pracy na wsi. Nie zachęca ich ani wysoka pożyczka bezzwrotna na budowę własnego domu, ani jednorazowy kredyt na zagospodarowanie. Dyplomaci podnoszą ciągle argument, że wieś nie zapewni im możliwości korzystania z dóbr kulturalnych, które daje miasto. Jest to zwykły wykręt, bo jak dowodzą badania, kontakty z kulturą, a więc chodzenie do teatru, filharmonii, na wystawy plastyczne są rzadkie.

To nie są wszystkie bariery, na które napotyka odrodzony system szkolnictwa wiejskiego. Wszędzie

towani. Stąd, mimo ostatnich zmian programowych, rośnie procent uczniów zakwalifikowanych do klasowych zespołów wyrównawczych. Braków na starcie nie udaje się już później wyrównać, pogłębiają się one coraz bardziej.

Trzeba zaznaczyć, że dzieci wiejskie od tego roku stają też ponownie przed egzaminacyjnym sitem do szkół średnich. Pod znakiem zapytania staje społeczne dążenie do wyprostowania drogi wiejskiego dziecka do szkoły wyższej, zapewnienia tym najzdolniejszym zdobycia najwyższych szczebli kształcenia.

Od kiedy zostały zlikwidowane licea pedagogiczne, w województwie ciągle brakuje nauczycieli. Jeśli zostaną zaakceptowane przez Sejm postanowienia nowej Karty Nauczyciela wkrótce 1/3 nauczycieli w łomżyńskim może znaleźć się na emeryturze. Więc ten deficyt jeszcze bardziej może się pogłębić.

Oświata łomżyńska, która stanęła przed dylematem: będzie szkoła z nauczycielami nie przygotowanymi do zawodu, albo wcale jej nie będzie — wybrała pierwszą ewentualność. Jedyną co może zrobić, to zapewnić zdobycie jakichś takich kwalifikacji na rocznym kursie pedagogicznym. Ale co dalej? Czy istnieją jakieś drogi wyjścia z tej patowej sytuacji?

Na to pytanie może paść tylko odpowiedź z samego centrum organizacji oświaty. Resort, realizując postanowienia z Ustrzyk i Rzeszowa powołał komisję pod przewodnictwem wiceministra Banacha, w której skład wchodzi przedstawiciele związków zawodowych, organizacji społecznych, komitetów rodzicielskich, nauczycieli. Działa ona już od dłuższego czasu w pięciu wybranych województwach o wybitnie wiejskim charakterze: w kazańskim, siedleckim, nowosądeckim, suwalskim i rzeszowskim. Do końca roku zostanie przedstawiony program rozwoju szkolnictwa i wychowania na wsi.

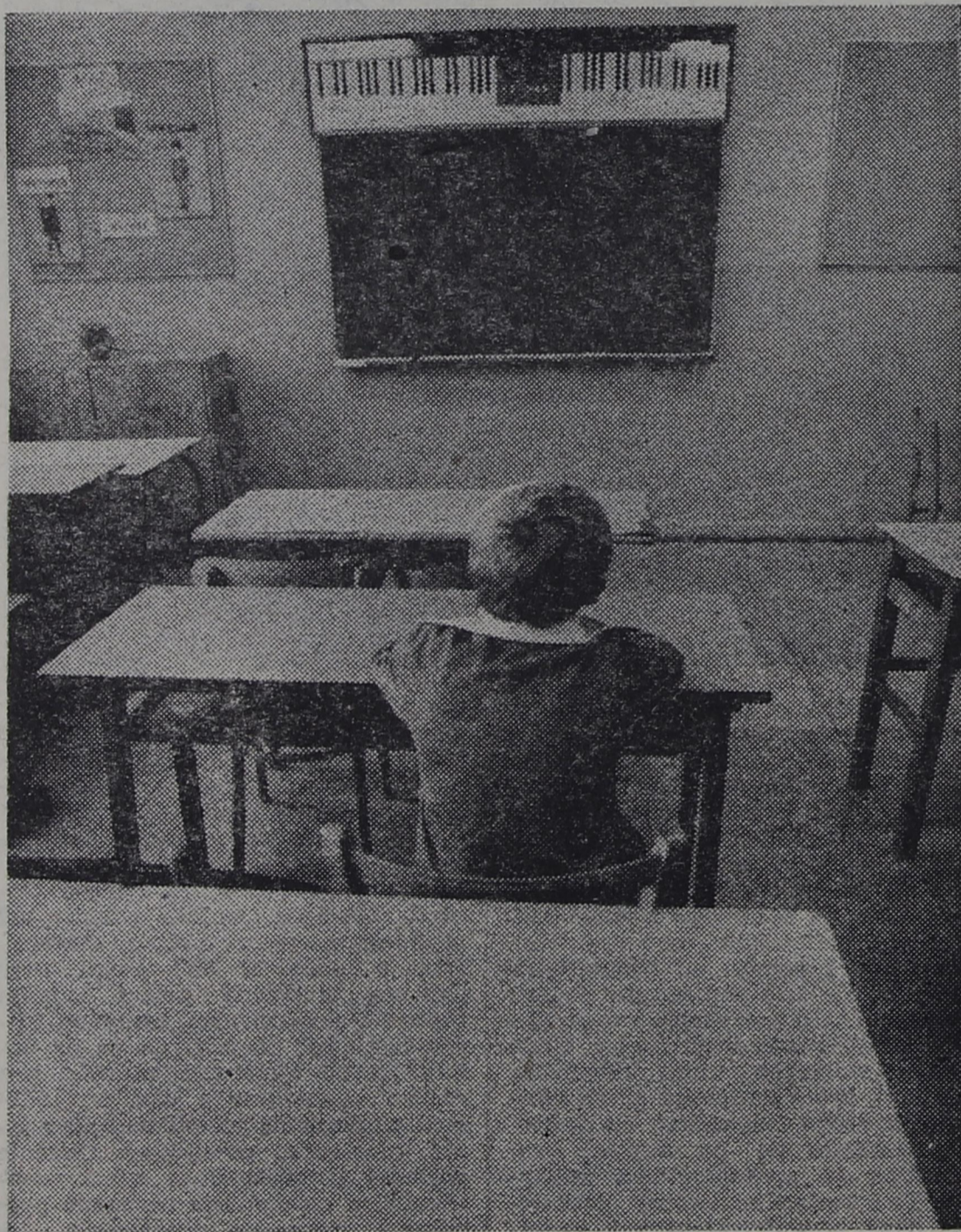
Doraźną propozycją podnoszenia kwalifikacji nauczycieli wiejskich jest powołanie dwuletnich studiów nauczania początkowego, co tylko złagodziłby obecną sytuację. Ale jednocześnie — co jest powodem obaw nauczycielskich władz związkowych — może się przyczynić do obniżenia rangi zawodu. Należałoby również powrócić — postuluje ZNP — do kształcenia nauczycieli w dwóch specjalnościach, co usprawni w znacznym stopniu proces nauczania. Tę drugą specjalizację przedmiotową, nauczyciele zdobywaliby na podyplomowych studiach.

Najważniejszym jednak poczynaniem na niwie oświatowej powinno być zrezygnowanie z ciągłego reformowania reformy, zatrzymywanie jej w połowie, łatania dziur doraźnymi decyzjami. Uspokojenie systemu oświatowego, to właśnie pierwsze z trzech „U” w koncepcji wysuwanej przez przedstawiciela ZG ZNP, Jana Zaciury. Udoskonalenie istniejących struktur sieci szkolnej polegałoby na wstrzymaniu dalszego jej rozdrabniania, doposażeniu w sprzęt, ujednoliceniu podręczników, zagwarantowaniu dobrych poradników metodycznych dla nauczycieli. Uaktywnienie szkoły wiązałoby się z większą niż dotychczas możliwością podejmowania decyzji w organizacji procesu nauczania, z przywróceniem więzi ze środowiskiem lokalnym, wciągnięciem w sprawę szkoły ogółu społeczeństwa.

Podstawowym warunkiem, by szkoła wiejska nie stoczyła się całkowicie, jest zaprzestanie oszczędzania na oświacie, stworzenia wiejskim nauczycielom warunków bytowania, jakie ma pedagog w mieście. Taką zachętą mogą być wysokie jednorazowe (60 tysięcy złotych) kredyty na zagospodarowanie dla nauczycieli podejmujących na wsi pierwszą pracę; stały dodatek do zasadniczego wynagrodzenia, którego wysokość zbliżyłaby się do średniej płacy pracowników inżynierjno-technicznych. Opracowanie rządowego programu budownictwa dla nauczycieli wiejskich rozwiązałoby kłopoty mieszkaniowe i zwiększyłoby ich zainteresowanie podejmowaniem pracy na wsi. Nasuwa się jednak podstawowe pytanie: czy istnieje realna możliwość spełnienia tych wniosków. Musi istnieć, bo w niedalekiej przyszłości wiejskie dziecko czeka poziom umysłowy współczesnego troglodyty, który będzie umiał podpisać się, zliczyć na tyle, by nie dać się oszukać w sklepie, no i wyrecytować pacierze.

MARIA TOCKA  
ALICJA ZAGÓRSKA  
Fot. GABOR LÖRINCZY

# Świadectwo niedojrzałości



gają z oświatowego budżetu ciężkie grosze (48 procent ogólnych nakładów w województwie), nadal są zaniedbane, źle wyposażone, pracują w fatalnych warunkach. Ale to jeszcze nie znaczy, że nie mogłyby uczyć dobrze. Najistotniejszą nadal barierą, nie do przeskokowania od wielu, wielu lat, jest poziom kadry nauczycielskiej. Na 3116 nauczycieli zatrudnionych w łomżyńskim szkolnictwie podstawowym, aż 507 jest bez wymaganego wykształcenia; nauczyciele ci stanowią aż 30 proc. spośród wszystkich nauczających dzieci wiejskie. Tak się składa, że większość z nich pracuje, mówiąc językiem fachowców od oświaty, w głębokim terenie, czyli w małych szkołkach odległych od gminnych centrów i ośrodków miejskich. Największa liczba nauczycieli najslabiej przygotowanych znaj-

tam, gdzie udało się ściągnąć nauczyciela o wyższych kwalifikacjach, mała wiejska szkółka, na zasadzie łatania dziur, zmusza do uczenia kilku, czasem zupełnie niepokrewnych przedmiotów. Mało tego, brak nauczycieli, mała liczebność klas spowodowały powrót do organizacji lekcji w klasach łączonych. Czy praca w takich warunkach może zapewnić dobrą realizację programu, jednakowego przecież dla wszystkich szkół. Wiejskie dzieci, pomijając środowiskowe zaniedbania, już na starcie nie mają wręcz możliwości edukowania się na wysokim poziomie, od którego przecież zależy efektywność nauczania w starszych klasach. A właśnie w klasach początkowych, kiedy wiedzę powinni przekazywać specjalści o najwyższych kwalifikacjach uczą ludzie najmniej do tego przygo-

tu też minęło kilka lat i dopiero teraz okazał się podejrzanym.

24 października 1980 Ireneusz Skrodzki złożył prośbę o zwolnienie go ze stanowiska I sekretarza KMG PZPR w Kolnie. Uzasadniał ją swoim nieszczególnym stanem psychicznym, wynikającym z atmosfery pomówień i plotek. Złe samopoczucie utrudnia mu ofensywne kierowanie pracą, a uważa, że osobiste, wewnętrzne rozterki nie powinny wpływać na pracę instancji miejskiej. „Wewnętrzne rozterki” i fatalny stan psychiczny nie wynikały prawdopodobnie z samego faktu krążenia plotek, ale z przypuszczeń, kto był ich autorem. Skrodzkiego nie atakowała „Solidarność”, która miała zwyczaj publicznego formułowania swoich zarzutów. Zaistniała sytuacja wydawała się mieć charakter jakiejś nieładnej, wewnętrznej rozróby i to w okresie dla Partii szczególnie trudnym.

Sam Ireneusz Skrodzki nie chce na ten temat mówić: może kiedyś opowie o tym wnukom. Teraz nie warto się w tym babrać, rozpamiętywać, wywlekać szczegóły. — Nie muszę odpierać przykrościami za przykrości. Wiem, że jestem normalnym człowiekiem i tak jak każdemu można mi wytknąć słabe punkty w pracy. Ale nie zrobiłem nikomu nic złego. Pełniąc jakąś funkcję można, oczywiście, siedzieć cicho, przetrzymać spokojnie ten okres nie rzucając się w oczy, nie wadząc nikomu. Ale jak chce się być odpowiedzialnym, podejmować decyzje, to one już nie wszystkim muszą się podobać. Mam jednak czyste sumienie. Starałem się ludziom pomagać, jak mogłem. Szczególnie przykre były interwencje w sprawie mieszkań — jedna od drugiej pilniejsza i słuszniejsza, tylko pomieszczeń brak. Pamiętam, jak pojechaliśmy kiedyś na interwencję do prezesa Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej o mieszkanie dla samotnej matki z czworgiem dzieci. Kto wie, czy prezes nie pomyślał sobie: ile też ta kobieta mogła im wsunąć w łapę, że obaj się fatygują? Interwencję jednak uwzględnił, a tak na marginesie, kobieta nie powiedziała nawet dziękuję. Nie o to jednak chodzi, bo taka nasza praca. Jeżeli jednak ktoś nawet czasem przyjdzie z dobrym słowem, tylko my o tym wiemy, ale jak ktoś krzyczy o swojej krzywdzie i niesprawiedliwości, daleko go sływać. Decydując się więc na jakieś stanowisko trzeba wiedzieć o tym, że będą nie tylko oklaski, ale i cienie; nie tylko satysfakcje, ale i wiele gorzkich pigulek do przełknięcia.

Wydaje się, że Skrodzki swoją porcję już przełknął i pewnie dobrze jeszcze pamięta ich smak. Stara się jednak spokojnie i rzeczowo wytłumaczyć, co dało pretekst do plotek. Przedstawia obszernie pismo Prokuratora, obalające podejrzenie o zagarnięcie przez niego mienia wartości 150 tysięcy zł. Zależy mu jedynie na podaniu tych rzeczowych informacji, bo nie chce służyć jako przykład korumpowania się Partii w latach siedemdziesiątych.

W 1976 roku rodzina przekonała go, że powinien skorzystać z prawa pierwokupu domu, w którym dotychczas mieszkali, a którego administracja chciała pozbyć się tym chętniej, że wymagał remontu. Siostra szczególnie namawiała do wspólnego kupna, bo wraz z mężem i dwójmiej dziećmi mieszkali w garażu. Mogła też mieć do niego trochę żalu o to, że nie użył swych wpływów, aby załatwić im mieszkanie spółdzielcze. Jesienią 76 energicznie zabrał się do remontowania. Zlecił SKR-owi wyburzenie ścian wewnętrznych i stropów wymagających remontu. Szczegółowej pisemnej umowy nie spisano, zbliżał się koniec roku i, aby zapewnić sobie wykonanie planu, oszacowano wstępnie te „prace w toku” na zawyżoną kwotę około 180 tysięcy zł. Odbierając na początku 77 roku te prace Ireneusz Skrodzki; zakwestionował oczywiście wysokość opłaty. Nowe wyliczenie opiewało na 30 tysięcy 68 złotych i taką sumę opłacił. Teraz Prokuratura zleciła biegłemu sądowemu wykonanie ponownych wyliczeń. Prace przeciągnęły się, bowiem w ich trakcie zmarł biegły Wróblewski. Jego następcą, inż. architekt Jerzy Wińcza stwierdził, że opłata winna być o 15 tysięcy wyższa. SKR nie czuł się jednak pokrzywdzony i nie wystąpił o uszczerzenie tych pieniędzy. To tyle. Zastanawiające, dlaczego Partia nie broniła swego członka, skoro tak niewiele było tych niejasności? Skrodz-

ki wolałby nie słyszeć tego pytania, a gdy się upieram, zbywa mnie kilkoma ogólnikami: — Czas był trudny, partia w defensywie. Nie mam pretensji do nikogo z KW. Zawsze ich szanowałem, współpraca układała się dobrze. Milczy chwilę i dodaje: — Nikt nikomu nie może przychylić autorytetu czy dobrej opinii. Każdy na to pracuje sam. Utracone-go zaufania też nikt nam nie przywróci, jeśli sami na nie nie zapracujemy.

25 lat jest członkiem Partii. Czwierć wieku. Ma za sobą przepracowanych 27 lat, w tym siedem w aparacie partyjnym. Te zalicza do najmniej udanych. Wydaje mu się, że lepiej służył Partii jako nauczyciel czy inspektor szkolny. Miał z tej pracy du-

jednako swoje myślał i swoje robił i dlatego dziś można stwierdzić, że mimo, lub dzięki, swej miejsko-gminnej godności, Kolno powoli się rozwijało. Tuż przed Sierpniem była już prawie nagrana sprawa tworzenia filii białostockiego Polkoloru. Teraz nie już o tym nie sływać. Może kiedyś ktoś to podejmie?

Na brak zajęć nie narzeka. Dostarczają ich aż nadto pełnione funkcje: inspektora szkolnego i przewodniczącego Miejsko-Gminnej Rady Narodowej.

— Mimo że przez 20 lat byłem radnym stopnia podstawowego i przez kilka lat przewodniczącym postanowiłem i z tego zrezygnować. Nie czułem się wprawdzie winny, ale jakis nieswój. Bo chociaż sam poprosiłem o zwolnienie z funkcji pierwszego sekretarza, nieprzyjemnie zaskoczyło mnie, że prasa podała o przyjęciu mojej rezygnacji przed posiedzeniem Egzekutywy w tej sprawie. Wkrótce potem dostałem zaproszenie na jakąś imprezę ORMO-owską i zobaczyłem, że podpisał je jakiś nowy przewodniczący. Do dziś nie wiem kto, kiedy i jak zwolnił mnie z tej funkcji, nawet nie raczyli mnie poinformować. Dlatego też, mimo że się otrząsnąłem z chwilowej depresji i zupełnie dobrze się czuję, powiedziałem na sesji, że wprawdzie wybrał mnie demokratycznie, ale według obowiązującego wówczas wzorca, że I sekretarz ma jednocześnie przewodniczyć Radzie, uważam za stosowne złożyć mój mandat. Rezygnacji nie przyjęli, przemówienie skwitowali brawami. By-

podejrzenia o zagarnięcie mienia społecznego przez tow. I. Skrodzkiego były nieuzasadnione. Przepraszam też w imieniu redakcji za to, że w rubryce „Zdarzenia” podała przedwczesną informację o zwolnieniu go na własną prośbę. Otrzymał ją z KW, więc gdzie jeszcze mieliśmy szukać potwierdzenia? Swoją drogą, wypadłoby może, żeby i ów informator przepraszł i Ireneusza Skrodzkiego i redakcję za ten, niczym nieuzasadniony, pośpiech. Dziwić też może skwapliwość, z jaką KW przyjęło jego prośbę o zwolnienie. Trudno uwierzyć, żeby przez parę dobrych lat współpracy nie orientowano się, co reprezentują sobą sekretarze w poszczególnych gminach. Było przecież kilku takich, co do przydatności których nie powinno być żadnych wątpliwości. Tak w tych jednak, jak i w tamtym przypadku zabrakło argumentów za tym, by jednego zatrzymać, dodać im odwagi; innych natomiast zdecydowanie oddalić. I kto miał w tym układzie skutecznie kierować instancjami miejsko-gminnymi w odnowie?

Zamykam notes z zalem, że nie będzie wspaniałego reportażu o goryczy porażki, o samotności w trudnych chwilach. Mój rozmówca nie pomoże mi w odtworzeniu atmosfery małego miasteczka, w którym wszyscy znają wszystkich na wylot, a mimo to czasem wystarczy drobna iskra — mała, złośliwa plotka — żeby zelektryzować połowę mieszkańców. Nie opowie mi też, co czuł, gdy w niewdzięcznym dla niego okresie, niektórzy znajomi i przełożeni uni-

## rezygnacja



żo satysfakcji i do dziś z przyjemnością wita swoich, już dorosłych, całkiem dorosłych, uczniów. Bowiem nawet po wielu latach zawsze zostaje ta szczególna więź między nauczycielem a uczniem.

Na stanowisko pierwszego sekretarza w Komitecie powiatowym bynajmniej się nie pchał. Wręcz przeciwnie. Ale komuś się nadawał na sekretarza. Odmówił. Wtedy tow. Juszkiewicz wezwał go do Białegostoku. Wrócił do domu po długiej i wyczerpującej dyskusji i oświadczył żonie, że będzie jednak awansował. Nie uwierzyła mu, że lojalnie uprzedził KW, iż nie będzie nawracał żony na ateizm. Postanowiła sama wyjaśnić wątpliwości. Zadzwoniła do KW. Zaproszono ją na osobistą rozmowę. Po czterech godzinach picia kawy z tow. Juszkiewiczem, nie miała ochoty coś jeszcze tłumaczyć mężowi.

Praca zresztą zaraz go wciągnęła i nie było czasu na rozmyślanie. Niestety, niedługo potem, w 75 zlikwidowali powiat. Kto mógł, rzucił się do nowego województwa. Został na placu boju prawie sam, w pokoju ogołoconym z mebli. W podobnej sytuacji znalazł się naczelnik Ciszewski. Zbliżyły się tradycyjne „Dni Kolna”. Pojechali do tow. Zawodzieńskiego zapytać, czy nadal mogą je organizować. Powiedział, że tak, i że musza wypaść jeszcze lepiej niż za powiatu. Wypadło niezłe. W ogóle praca zaczęła się znów jakoś układać. Nie lubił tylko tłumaczyć i oświadczać, że Kolno zyskało na tym, iż przestało być powiatem. Każdy

łem zaskoczony, tym bardziej że znalazły się też jakieś kwiaty...

Nie było więc ze mną tak źle. Dostrzegłem, że ludzie się wcale nie odwracają na mój widok, że normalnie się sobie kłaniamy, rozmawiamy, współpracujemy. Jakby nic się nie stało. Nikt mi też bezpośrednio nie zrobił żadnej przykrości. Mieszkańcy Borkowa, gdzie rozpoczynałem moją pracę nauczycielską proponowali mi posadę i mieszkanie u nich. Było to bardzo sympatyczne, ale chyba tu dopracuję do emerytury. Dobrze czuję się w Kolnie. Myślę, że wielu zaakceptowało mnie, chociaż Kolnianie dbają bardzo mocno o „czystość rasy”.

Czego żałuję? Niczego szczególnie. Jednak, gdyby przeszłość mogła wrócić, absolutnie bezwzględnie egzekwowałbym realizację zbiorowo podjętych uchwał. Może myślałbym też więcej o zapewnieniu lepszemu startu dzieciom. Żona teraz wyrzuca sobie i mnie, że dorobiliśmy się wprawdzie domu i samochodu, ale córk z tego korzystać nie będą.

Czego pragnę? Spokojnej emerytury: prac w ogródku i głębokiego fotela przed telewizorem. Do 2010 roku spłacimy raty za domek, nie będę chyba potrzebował następnego samochodu. Dzieci pewnie już ułożą sobie życie, a ja będę mógł bawić wnuki. Starzenie się to czas nieuchronnych rezygnacji...

Dopalił któregoś z rządu papierosa. Siedzę tu od czterech godzin i wypadłoby się już pożegnać: przecież zdobyłam wszystkie potrzebne dane do publicznego wyjaśnienia, że

kalil z nim spotkań — zapewne, aby nie zadał im pytania, co o tym wszystkim sądzą, a może z obawy „zarazenia się chorobą podejrzeń”. Czy oawilo go, gdy widział jak kolega mężczy się wynajdywaniem absolutnie neutralnych tematów, gdy już musiał dojsz do spotkania tete a tete? Ciekawe też, czy w podobnych chwilach nigdy nie przychodziło mu na myśl, że skoro już obwołano go parszywą owcą, to może szkoda, że na to nie założył? No, niekoniecznie zaraz jakaś wielka machlojka, ale o tę promesę mógł poprosić, raz czy drugi pojechać do Turcji, kupić żonę i córkom kozuchy i łanusczk. To nawet nie przestępstwo, a żyłoby się lepiej. Nie chciał, nie skorzystał. Jego sprawa. Zresztą nie wydaje się, żeby żałował swego postępowania. Do nikogo też nie zgłasza pretensji, na nic nie narzeka. Pewnie zdaje sobie sprawę, że każda skarga jest oskarżeniem, nawet gdy człowiek użala się tylko na swój los...

Pytam jeszcze na odchodnym, czy dobrze i tak zdrowo wyglądający pięćdziesięciolatek wytrzyma na tej emeryturze — wciśnięty w fotel i miękkie kapcie, czy na pewno nie będzie go ciągnęło do jakiejś pracy społecznej. Odpowiada z cieniem uśmiechu w oczach, że pracowałby chętnie, ale pod warunkiem, że mógłby sam, na własną odpowiedzialność podejmować decyzje i miałby pewność, że ta jego działalność będzie służyć ludziom, a nie tylko ideom.

DANUTA WRONISZEWSKA  
Fot. GABOR LORINCZY



Mozna przyjąć, że mija sto lat od śmierci reymontowskiego Boryny. Jego osobowość ukształtował okres bogaty w wydarzenia (powstanie styczniowe, uwłaszczenie chłopów, rusyfikacja). Minione stulecie nie było również łaskawe dla dalszych pokoleń Borynów. Brali oni udział w walkach o niepodległość, a potem — o sprawiedliwość społeczną. Nigdy nie mieli na swej drodze wyraźnego zielonego światła, a jeżeli już je zapalano, to na krótko i tylko w krytycznych momentach dla kraju.

Sto lat to znaczny okres. W Lipcach gospodaruje już trzecie pokolenie Borynów. Jacy są dzisiejsi Borynowie?

Za Lipce uważam swoje rodzinne strony, w których przebywał Reymont w okresie młodości i pisania pierwszych utworów (1868—1894). Są to okolice Tuszyńna i Będkowa — miejscowości znajdujących się obecnie na granicy województw piotrkowskiego i łódzkiego. Pole mojego gospodarstwa graniczy przez łąkę i rzekę z byłym gospodarstwem i młynem ojca Reymonta. Rodzinę Reymonta doskonale znał mój dziad. Pamiętał go pisarz: włączył jego imię i nazwisko do „Chłopów”.

Na podstawie własnej wiedzy o tej okolicy oraz dokumentów — spróbuję przedstawić historię oświaty w Lipcach, która przecież ukształtowała obecne pokolenie wsi.

Niejednemu czytelnikowi „Chłopów” nasuwa się pytanie: czy rzeczywiście to, co opisał Reymont, było prawdziwe? Czy to było możliwe, że mieszkańcy Lipiec nie chcieli mieć szkoły? Dlaczego z takim uporem, a nawet zawziętością, sprzeciwiali się jej budowie? A może to wynikało ze skąpstwa i ciemnoty chłopów?

Z takim rozumowaniem można by się zgodzić, gdyby akcja „Chłopów” toczyła się w pierwszej połowie ubiegłego wieku. Wówczas rzeczywiście rola szkoły na wsi nie była przez chłopów doceniana. W parafii Łąznów, do której należały także wsie znane Reymontowi, jak również Jakubów, w którym mieszkał, w roku 1827 zdarzył się taki przypadek: naddziernawca, ksiądz proboszcz i 68 chłopów, wśród których tylko jeden umiał się podpisać, opowiedzieli się na zebraniu za zniesieniem — istniejącej od 1808 r. — szkoły. Jedyną przyczyną tej decyzji była próba pozbycia się świadczeń.

Ale pół wieku później zdania chłopów na potrzebę uczenia się były już bardziej postępowe. Błażej Stolarski (działacz ludowy, wicemarszałek Sejmu w 1938 r.) w monografii „Śługocice. Obraz życia i pracy jednej wioski” (CZKR, Warszawa 1925), poświęconej jego rodzinnej wsi, zamieścił bezcenne spostrzeżenia z lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, wyniesione przez chłopasamouka, rozumiejącego wieś, jej życie i bolączki. Odnoszą się one do wsi opoczyńskiej, czyli pobliska okolicy, w której lata młodości spędził Reymont.

„Gdy wszedłem w okres lat dziecka będącego w wieku szkolnym — wspomina Stolarski — wiedziałem, że w naszej wsi tylko jeden gospodarz umie słabo czytać drukowane i ledwo się podpisać. Jeszcze jeden »znał« drukowane, ale używał swojej umiejętności tylko do śpiewania pieśni na pogrzebach”.

W Lipcach niektórzy chłopcy już umieli czytać; czytali nawet gazety. Średnie pokolenie chłopów pobierało „nauki” w szkole. W jakiej i gdzie, tego Reymont nie podaje, ale najprawdopodobniej miał na myśli szkołę w Będkowie — oddaloną o 3,5 kilometra od Jakubowa — do której sam uczęszczał. Istniała ona od dawnych czasów. Chodziło do niej około stu dzieci, a uczył je — jeden nauczyciel! Nauczyciele polscy byli miejscowego pochodzenia, ale pozostawali pod przemożnym wpływem inspektora — Rosjanina i stawali się biernymi narzędziami w jego rękach. Bardziej zdolni i pracowici uczniowie chłonili wiadomości nie o Polsce, ale o dobroci i wielkości caratu.

Taki sposób nauczania dawał zamierzony przez okupanta rezultaty. Świadczy o tym także zapis Stolarskiego: „[...] wszedłem w bliskie stosunki z dziś już nie żyjącym jedynym z najbliższych gospodarzy, który przeszedł ową szkołę. Ku wielkiemu memu zdziwieniu, słyszałem z ust jego oburzenie na polską przeszlłość i na polskie rządy z czasów niepodległego jej bytu. Takiej historii nauczył się on z podręczników rosyjskich. Naturalnie, nic się

## PO SĄSIEDZKU Z REYMONTEM

Pierwszą częścią szkicu prof. dr. hab. Zenona Wachnika (humanisty z zamilowania, z funkcji zaś — dyrektora Instytutu Chorób Zakaźnych i Inwazyjnych we wrocławskiej Akademii Rolniczej), którego gospodarstwo sąsiaduje z dawną posiadłością ojca Władysława Reymonta, wchodzimy w świat naszego konkursowego bohatera — Boryny. Najpierw zajrzyjmy tam od strony oświaty, czyli dziedziny, która ukształtowała świadomość społeczną i polityczną spadkobierców Boryny. Następne dwa szkice odsonią tajniki uprawy roli i hodowli zwierząt w Lipcach i najbliższej okolicy. Zanim więc rozpoczniemy druk konkursowych reportaży pod hasłem „Boryna 81” — przyjrzyjmy się warunkom życia kolejnych pokoleń Borynów, pierwowzorów postaci naszego Noblisty.

# szkoły Borynów

Prof. dr hab. ZENON WACHNIK



Jakub Boryna z Makowa (na zdjęciu — z żoną, córką i synem Antonim) pamięta Władysława Reymonta; pracował z nim na kole. Może on właśnie posłużył za pierwowzór bohatera „Chłopów”?

z nich nie dowiedział o dziejach Rosji, o prześladowaniu ludów Rosji przez jej panów, o niesprawiedliwych rządach samodzierców Rosji. Widziałem, że w duszy tego dziecka ludu rodzi się jad nienawiści do polskości, uwielbienia dla tego, co jest wrogiem polskości. Toteż u tego gospodarza i u jego sąsiadów widziałem gazetę „Oświata”, która wydawana była specjalnie w tym celu, aby moskwińczyć polski lud”.

Na szczęście takiej propagandzie ulegli tylko niektórzy. Większość, biernie podchodząca do wiedzy, nie była zdolna wytworzyć sobie „zalecanego” światopoglądu, a i nauczyciele nie potrafili go umiejętnie przekazać. O nauczycielu szkoły w Będkowie Witold Kotowski, w monografii „Pod wiatr. Młodość Reymonta” (Wyd. Łódzkie, Łódź 1979), pisze: „Nauczyciel przebywał z narastającą systematycznością w knajpie, powierzając dzieciom starszym, bardziej zawnosowanym w wiedzy, przestępowaniu młodszym i przekazywaniu potem nauczycielowi nazwisk nie umiejących. By uniknąć kary cielesnej, przeważnie różę, praktykowano przekupywanie owych »prymusów« kromkami chleba, marchwią, gruszkami, guzikami itp.”

Taka to była szkoła. Oceniał ją także Reymont słowami mieszkańców Lipiec: „Mój Jadam całe dwa roky chodził do Woli, nauczycielowi dowoziłem po korzyzku ziemniaków, kobieta też mała i jajków dała mu na święta, a z tego wyszło co na książkę do nabożeństwa przeczytać

nie potrafi, zaś po rusku też ani me, ani be”.

A przecież chłopie głęboko odczuwali potrzebę oświaty. Bogatsi wysyłali swoje dzieci do światlejszych nauczycieli. Nauczanie dzieci w Lipcach przez Rocha, to przecież typowy obraz dla okresu od zakończenia powstania styczniowego do uzyskania niepodległości. Pisze o tym także Stolarski: „Dwóch zamożniejszych gospodarzy posyłało swych dwóch synów do organisty do Białobrzeg, co zresztą czyniono w całej parafii, a szczególnie że wsi Ciebłowie, i tam pobierali lekcje czytania i pisania. Niezamożni na to sobie pozwolić nie mogli. Utrudniało posyłanie i to, że do Białobrzeg było 6 wiorst drogi przez las, gdzie niejednokrotnie bota uniemożliwiała dzieciom chodzenie. Z tych, którzy się uczyli, musiał jeden stać na straży, aby ostrzec w porę, gdyby szli strażnicy”.

Ponieważ we wsi nie było nauczyciela, stawał się nim najczęściej starszy chłopak, który umiał już czytać, pisać i rachować. „Gdy miałem 12—15 lat — pisze Stolarski — kazano mi uczyć dzieci, gdyż gospodarze nieustannie prosili o to mojego ojca. Uważano, że skończenie uczonej i dlatego obowiązany byłem swą naukę przelewać na innych. Do nauki wykorzystywano miesiąc zimowy. Przypominam sobie dni, gdy gromada dwanaściora, a nawet piętnaściora obsiadała stół i rozpoczęliśmy wspólną naukę”.

Ten sposób nauczania dzieci wie-

skich przetrwał do czasów Polski niepodległej. Takim nauczycielem był także mój ojciec, który po ukończeniu szkoły wiejskiej (przed pierwszą wojną światową) uczył zimą dzieci. Przychodziły one z własnymi stołkami do kolejnych chat i uczyły się przy długim stołku. Oczywiście, także obowiązywała czujność przed żandarmami. Spora ilość mieszkańców z mojej rodzinnej i okolicznych wsi w ten sposób nauczyła się pisać i czytać. Niektórzy żyją do dzisiaj.

Atmosferę takiego nauczania oddaje Reymont: „[...] bo tam (w izbie) siedziało ze dwadzieścioro dzieci i wszystkie razem »a« w głos sylabizowały. [...] Roch je nauczał i pilnie baczył, by psich figłów nie stroiły”.

We wsi Rosocha, oddalonej o sześć kilometrów od Jakubowa, w roku 1894 żandarmami wykryli tajną szkołkę, w której nauczał mieszkaniec tej wsi, Wojciech Cichura. W gubernii piotrkowskiej w latach 1870—1902 wykryto 44 tajne szkoły. A ile ich nie wykryto! Z pewnością na wsiach działało wielu Rochów, a oświata przenikała także wieloma innymi drogami. Świadczy o tym inny zapis Stolarskiego: „Naukę zdobywałem od każdego, kto tylko mi się trafił i kto mi mógł poradzić. Najwięcej nauczyłem się od robotników z pobliskiego miasteczka Inowłodza, pracujących w lasach, później, gdy niejaki Anoz, pochodzący z Kujaw, zamieszkał jako zesłaniec w naszej wsi (był z zawodu rolnikiem, administratorem majątków ziemskich), posłem do niego z prośbą o pomoc w nauce. A bał się, aby nie wydało się, że on uczy dzieci, ale jakoś to szło”.

Istotnym hamulcem rozwoju oświaty na wsi był brak odpowiednich nauczycieli — Polaków, którzy umieliby, nauczając w szkole rosyjskiej, pamiętać także o Polsce. Na kartach „Chłopów” nie ma takiego nauczyciela. Śmiem twierdzić, że gdyby Reymont pisał „Chłopów” później, wprowadziłby do nich sąsiada Jakubowa — patriotę, nauczyciela jednoklasowej gminnej szkoły początkowej w Prażkach, otwartej w roku 1903. Nauczyciel ten, Stanisław Pilichowski, swoim postępowaniem zyskał ogromny posłuch i poważanie; jeszcze do dziś starsi gospodarze wspominają go prawie z uwielbieniem. A tak o nim pisze Stolarski: „Jakaż radość była dla mnie, kiedy ów nauczyciel na inspekcję szkoły poprosił kilku gminników, dwóch księży i powie-dział do nas: Panowie, inspektor urzędowy przeprowadził u mnie inspekcję z historii Rosji i języka rosyjskiego, a was poprosiłem, abyście przeprowadzili inspekcję z historii Polski i języka polskiego, albowiem jestem Polakiem i chcę wśród ludu siać ducha polskiego, ale nie wiem, czy to dobrze robię”.

Ojciec mój w roku 1905 zorganizował strajk szkolny. Bardziej rozgar-niętych chłopów wtajemniczył w jego istotę, a ci namówili kolegów. Strajk miał burzliwy charakter: kiedy nauczyciel rozpoczął lekcję z języka rosyjskiego, zbuntowani uczniowie podarli i wyrzucili zeszyty i książki przez okno. Oczywiście, nauczyciel złożył odpowiedni raport władzom szkolnym guberni piotrkowskiej. Ale był to już bardzo widoczny znak walki o polską szkołę na wsi. W roku 1917 samorządnie powstało w Będkowie Towarzystwo Uczelni Polskiej im. Tadeusza Kościuszki i zorganizowało jedną z pierwszych na wsi szkołę średnią z polskim językiem nauczania; działała ona przez trzy lata.

Różnorodność form rozwoju świadomości chłopskiej została przedstawiona w „Chłopach”. Dlaczego każdy dziad był tak serdecznie przyjmowany i traktowany przez społeczność wiejską? Ponieważ stanowił „chodzącą gazetę” i przenośli różne wiadomości o świecie. Przynosili je również byli żołnierze. Ale najbardziej szanowani byli ci, którzy umieli czytać, a tacy już się na wsiach pojawiali. Co mogli wówczas czytać? Reymont podaje, że Roch czytał różne bajki i przypowieści, budząc świadomość narodową — ale przecież Rocha uznać można za emisariusza.

W zasadzie czytano wówczas na wsi co popadło. Wiernie ilustruje to Stolarski: „Na ogół czytelnictwo do 1904 r. ograniczało się do czytania na modlitewniku, lecz od 1896 r. już książka, a nawet gazeta stawały się częstymi gośćmi na wsi. Z gazet czytano przeważnie »Gazetę Świąteczną«, inne gazety prawie były nieznanne, spotykaliśmy się często z

»Zorza« i dużo o niej słyszeliśmy dobrego, lecz we wsi nikt jej nie prenumerował. Czytaliśmy roczniki stare Kmiotki. A poza tym książki, jak: żywoty różnych świętych, życie Jezusa, powieści, bajki itp. Z jakich źródeł czerpaliśmy, trudno dziś jest na to odpowiedzieć. Nie było nigdzie biblioteki. Książek dostarczały nam ludzie, którzy chcieli, aby one były czytane pod wiejską strzechą [...] skoro dowiedzieliśmy się, że jest jakaś książka, chociażby to było na trzeciej wsi, to rzecz konieczną było, aby ją dostać. Czytaliśmy wszystkie »Proroctwa Królowej Saby«, »Sennik egipski« itp.»

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia pojawili się chłopcy, którzy umieli już dobrze czytać. Uznawani byli za przywódców wsi, zostawali sołtysami, wójtami. Pojawili się także w znacznej ilości książki „zakazane”. Jak podaje Helena Brodowska w „Ruchu chłopskim po uwłaszczeniu w Królestwie Polskim 1864—1904” (PWN, Warszawa 1967), na terenie guberni piotrkowskiej żandarmeria carska już w 1868 r. przechwycała 1212 „zakazanych” książek i czasopism. Dotychczas nie udało się ustalić tytułów literatury „zakazanej”, ale na pewno wywarła ona ogromny wpływ na narodziny radykalnych działaczy chłopskich.

Reymont zauważył to zjawisko; w powieści uosobił je Grzela. Tacy jak

tam, a szczególnie jedno pytanie: co to jest figura? (chodziło o figury geometryczne). Odpowiedziałem, że figura jest to coś większego od figurki. A co to jest figurka? Figurka to przecież... figurka św. Jana, Matki Boskiej, a figura to może być kapliczka. Czulem, że moja odpowiedź nie była prawidłowa, ale nauczyciel widocznie uznał, że myślałem logicznie, i zostałem przyjęty. Dopiero w tej szkole dowiedziałem się o istnieniu figur geometrycznych.

Dlaczego ja mogłem ukończyć siedmiooddziałową szkołę, a moje koleżanki i koledzy — nie? O tym rozstrzygało przede wszystkim stanowisko rodziców. Przeważnie uważali, że „wyższe” wykształcenie nie jest ich dzieciom potrzebne, a umiejętność pisania i czytania w zupełności im wystarcza. Nie widzieli innej dla tych dzieci przyszłości, jak tylko pozostanie na wsi, a za szczyt możliwości uważali „dostanie się” do roboty na kolei w pobliskiej Łodzi. Oprócz mnie, przed II wojną światową szkołę 7-oddziałową ukończyło jeszcze pięćdziesiąt dzieci. Charakterystyczny jest fakt, że były to dzieci chłopów, którzy czytali co najmniej „Gazetę Świąteczną”. Z badań Stefana Ignara („Historia szkoły w Łaznowie”, LSW, Warszawa 1959) wynika, że w niedalekich Popielawach w latach 1935—39 tylko zaledwie 25 proc. rocznika kończyło siódmy oddział. Nie było też zachęty ze strony nauczycieli, nie pamiętam,

kres po niej sprawiły, że dzisiaj ta wieś jest zupełnie inna. Prawie wszyscy, z wyjątkiem osób starszych, ukończyli pełną szkołę powszechną. Jest elektryczność, nie ma strzech, a przez wieś prowadzi asfaltowa droga. Ale nie ma bogatego życia kulturalnego. Nie działa żadna organizacja społeczna, poza — wyróżniającą się w okolicy — ochotniczą strażą pożarną, ale jej działalność kulturalna ogranicza się do urządzania zabaw zarobkowych. Dzieci dojeżdżają autobusem do gminnej szkoły zbiorczej. Zapomniano, że szkoła ta, wybudowana głównie staraniem mojego ojca, nazwana została imieniem Władysława Reymonta. Z zażenowaniem stwierdziłem, że nowa tablica informacyjna, zawieszona na tej szkole, już o tym nie wspomina. Naczelnik sąsiedniej gminy, w której znajduje się muzeum Reymonta, nie jest w stanie doprowadzić do uporządkowania drogi prowadzącej do tego muzeum, nie widzi potrzeby ratowania 600-letniej lipy, znanej jako lipa Reymontowska, i ani razu (choć ma na wykształcenie humanistyczne!) nie zwiędził tego muzeum, nie mówiąc już o pomocy w jego organizacji. Do muzeum trudno dojechać, bo od czterech lat nie ma mostu, zaś naczelnik oraz wojewoda piotrkowski, mimo częstych interwencji, tą sprawą się nie przejmują.

Nie ma we wsi także społeczników; brakuje księdza formatu Izzydora Kowalskiego, który jeszcze przed I wojną światową szerzył oświatę i kulturę rolną w całej parafii. Nie widzę także oddziaływania na kulturalne życie wsi Technikum Rolniczego, które powstało po drugiej wojnie światowej w sąsiednim Czernocinie.

Z przykrością muszę stwierdzić, że na wsi rozwija się wtórny analfabetyzm. Nie ma tej atmosfery uczenia się, jaka miała miejsce przed uzyskaniem niepodległości czy pod koniec lat trzydziestych. Ludzie mało czytają — nie mówiąc już o pisanii. Ilustracją umiejętności pisania może być zawiadomienie, jakie napisał sołtys jednej ze wsi w mojej okolicy (człowiek ten był dla mnie dawniej nawet wzorem — ukończył siedmiooddziałową szkołę, był działaczem młodzieżowym i od lat chyba 30 pełni funkcję sołtysa): „W dniu 11-04-79 (siroda) od 10.00—14.00 godz. Koło świetlicy Będzie samochód i będzie prześwietlał klatki piersiowe od 14 lat do końca życia. Każdy musi mieć Książeczkę ubezpieczeń, legitymację szkolną lub dowód osobisty i ile się kto nie załatwi na miejscu będzie jechał do Tomaszowa”.

Ten stan oświaty na wsi należy usprawiedliwić wpływem zdolniejszych i bardziej rzutkich osób do miast. Z mojej wsi, liczącej obecnie 150 osób (razem z dziećmi), pracę poza wsią w okresie powojennym znalazło prawie 80, w tym dwie osoby z wyższym wykształceniem i trzy ze średnim. Dla 25 dwuzawodowców, pracujących w pobliskiej Łodzi i na kolei, wieś spełnia głównie rolę sypialni. Myślę, że drugą przyczyną застоju kulturalnego mojej i sąsiednich wsi jest przeciętne życie fizyczne. Mieszkańcy po drugiej wojnie światowej zmienili całkowicie jej wygląd. Zbudowali nowe domy i obiekty gospodarskie. Została tylko jedna chatka pokryta strzechą. Ileż czasu i wysiłku musieli poświęcić tym przemianom materialnym! Niedostateczna mechanizacja prac polowych i hodowli zwierząt, jak również gospodarstw domowych, przy wyraźnym wzroście produktywności, nadal nie daje możliwości znalezienia czasu na odpoczynek i korzystanie z dóbr kulturalnych. Dlatego też wytworzył się swoisty styl łatwego przyjmowania „miejskiej” kultury bez osobistego zaangażowania, a co za tym idzie — zubażanie własnej osobowości. A jeżeli „skorupka nie nasiąkała za młodu”, jeśli nie było nauczyciela porywającego za sobą młode umysły, to tylko niektórzy zdolają się wybić ponad żalną przeciętność.

Zagubiono po drodze wspaniałe oświatowe idee naszych dziadów i ojców — zapomniano o roli nauczyciela, a zwłaszcza nauczyciela wiejskiego. Jako ochłap rzucono dzieciom chłopskim starając się o przyjęcie na studia, 5 punktów za pochodzenie, i to wypomina się im przy każdej okazji. Dzieci chłopskich na studiach co roku ubywa. A Roch — nauczyciel dawnych Borynów — nie może tego zrozumieć.

Fot. IRENA JAROSIŃSKA  
Repr. GABOR LŐRINCZY

## Kontakty Kontaktów

**7**  
KONTAKTY  
15.XI.1981

Spodobalo mi się i to motto „Nie dajmy się biedzie” i artykuł D. i A. Wroniszewskich „Ość w gardle”. Dla ludzi z miasta sprawy tam opisanie to może egzotyka, ale tak jest naprawdę. Ja też mam swoją „ość w gardle” i może za Waszą pomocą uda mi się ją wyjąć.

Mam 24 lata, wykształcenie średnie techniczne. Wiosną wróciłem z wojska i pracuję jako szlifierz w zakładzie państwowym. Jednak moja siedemdziesięcioletnia babcia widzi mnie jako następcę na swoim 4,5-hektarowym gospodarstwie w Białaszewie. Zapisałem się więc na odpowiedni kurs rolniczy. Ponieważ jest to gospodarstwo nieduże, mógłbym popracować również w SKR a w przyszłości założyć swój mechaniczny warsztat usługowy dla rolników. Moja dziewczyna jest pielęgniarcią i chętnie pracowałaby w wiejskim ośrodku zdrowia. I niby wszystko jest w porządku, ale... Dom mojej babci jest już ruiną. Obok, na państwowej własności stoi dom praktycznie beznadziejny. Choć ma swego „pana” budynki dewastują się z roku na rok z zamierzeniem. Człowiek ten nie płaci nawet rachunków za elektryczność i wkrótce odetną mu prąd. Kierując się tzw. chłopskim rozumem sędzę, że nie stać nas na spisywanie na straty domu, który po odpowiedniej renowacji mógłby być jeszcze długo użytkowany i że zboże, które babcia składa pod gołym niebem można by z powodzeniem składować w nieużytkowanej stodołce. Kiedyś babcia trzymała zboże w spichrzu, który administracja w latach 60-tych kazała rozebrać, chociaż była to prywatna własność babci. Nawiasem mówiąc, posiadłość, o którą się ubiegam została również wybudowana na ziemi babci. Nie wiem, czym się kierowano wówczas zabierając część prywatnej własności. Nie miejsce jednak tutaj na całą, gorzką historię lecz na niewiele weselszą terażniejszość. Zwróciłem się do Naczelnika miasta i gminy Grajewo o możliwość nabycia wspomnianego domu. Naczelnik wspomniawszy o jego planowanym remoncie kapitałnym oraz polecił zwrócić się z prośbą do wydziału rolnego przy Urzędzie Gminnym. Tam stwierdzono, że nie są w stanie podjąć wiążących decyzji (mimo, że byłoby im na rękę znalezienie odpowiedniego kandydata na tę posiadłość) bez porozumienia się z Urzędem Wojewódzkim. Czekalem prawie miesiąc aż ktoś kompetentny wróci z urlopu, by dowiedzieć się, że „oni tam” mają ważniejszą sprawę na głowie, a poza tym muszą się porozumieć z Ministerstwem Rolnictwa i dopiero po nowym roku będzie można się czegoś dowiedzieć. Czy Redakcja mogłaby mi podpowiedzieć, w którym nowym roku przypuszczalnie mam szansę na załatwienie tej sprawy.

JÓZEF PLUSZCZEWICZ  
Prostki

OD REDAKCJI: Trudno wyczuć. Rozumiemy natomiast, dlaczego reformowanie rolnictwa idzie tak opornie, skoro Ministerstwo Rolnictwa musi decydować komu przyznać jakiś budynek a komu ciągnik lub tylko plóg.

★

W związku z listem zamieszczonym w 41 numerze „Kontaktów” w sprawie nauczyciela ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Zambrowie, Wydział Oświaty i Wychowania w Zambrowie informuje, że po przeprowadzeniu postępowania wyjaśniającego przesłano dokumenty w powyższej sprawie do Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łomży w celu wszczęcia postępowania dyscyplinarnego.

Mgr JAN TYMIŃSKI  
Inspektor Oświaty i Wychowania  
Zambrow



Antoni Boryna dziś (z żoną) przed swoim domem w Makowie.

on później stawali się także działaczami oświatowymi. Ogromną rolę w podnoszeniu oświaty wsi i budzenia patriotyzmu odegrała Sienkiewiczowska trylogia. Czytano ją na jesienno-zimowych spotkaniach; duże emocje, budziły losy jej bohaterów. W mojej wsi był gospodarz — Maciej Plachta — który mimo że nie umiał czytać, trylogię znał na pamięć.

Każda książka wędrowała z rąk do rąk, ze wsi do wsi. Bardzo je szanowano. Szanowano także gazety. Nie były one powszechnym zjawiskiem. W Lipcach czytał je ksiądz, młynarz, kowal i Grzela. Jakże to były gazety — Reymont nie podaje; wspomina tylko o „Zorzy”, którą czytał Grzela. Można mniemać, że ksiądz czytał gazety codziennie i, najprawdopodobniej, „Gazetę Świąteczną”. Prenumerowali ją zapewne na spółkę młynarz i kowal. Wspólne prenumerowanie gazet przetrwało w mojej wsi jeszcze do czasów drugiej wojny światowej. „Gazetę Świąteczną” (jeden egzemplarz) zamawiało wspólnie sześciu światlejszych gospodarzy.

W Polsce niepodległej odpowiedzialność za oświatę na wsi spadała na państwo. Błędy polityki oświatowej najsilniej odbiły się na dzieciach wiejskich. Szczególnie pokrzywdziła je Jędrzejewiczowska ustawa o organizacji szkolnictwa. Dzieci z małych wiosek z góry skazane były na ukończenie tylko czterech oddziałów w ciągu siedmiu lat przymusu szkolnego.

Jako pierwsze dziecko z tej wsi ukończyłem siedmiooddziałową szkołę powszechną w wiosce oddalonej o trzy kilometry. Musiałem jednak zdać egzamin do oddziału piątego. Był to pierwszy egzamin w moim życiu, dlatego doskonale go pamię-

aby starali się przekonywać rodziców do zdolniejszych dzieci.

Mimo wszystko pod koniec lat trzydziestych wzrósł poziom oświaty w mojej wsi i w okolicy. Przyczyniło się do tego także radio — pięciu gospodarzy zainstalowało radia słuchawkowe, a w roku 1934 wieś, ze składek, zakupiła radio głosnikowe, które stało się „uniwersyteciem” dla całej wsi. Otworzono filię gminnej biblioteki. W roku 1930 w Łaznowie, a w roku 1939 w Będkowie, utworzono Uniwersytet Ludowy. Zajęcia odbywały się w okresie zimowym. W mojej wsi działało koło rolnicze, koło gospodyń wiejskich i Koło Młodzieży Wiejskiej „Siew”. Organizowano różnego rodzaju imprezy, reżyserowano przedstawienia. Co prawda wystawiano sztuki typu: „Żyd w becze” czy „Błątek opętany”, ale był to wyraźny krok naprzód w kulturze wiejskiej. Poza „Gazetą Świąteczną” czytane już były „Siew”, „Wici”, „Przysposobienie rolnicze”. Pojawiały się także gazety codzienne — „Express” łódzki prenumerował mój sąsiad, sklepikarz. Ukoronowaniem działalności społeczno-oświatowej było wybudowanie, z dużym udziałem wsi, jednoklasowej szkoły podstawowej z mieszkaniem dla nauczyciela. Zbiórano materiał na budowę domu ludowego. Czynem społecznym nieprzejezdne drogi przekształcone zostały w szosy obsadzone akacjami i lipami. Na każdym kroku wyczuwało się wspólność działania. Patrząc z dystansu na ten ostatni okres lat trzydziestych — trzeba przyznać, że był on znaczący w rozwoju oświaty w mojej i w sąsiednich wsiach. Drugie i trzecie pokolenie Borynów stawało się, mimo ogromnych trudności, współgospodarzem wsi.

Druga wojna światowa i cały o-



penetracje

WIDOK Z OKNA

W siedzibie łomżyńskiego Oddziału NSZZ „Solidarność” cichnie dalekopis. Nadawanie serwisu zostanie wznowione o godzinę, po strajku. Przy telefonie, z białą-czerwoną opaską, pamiętającą niejedną strajkową godzinę — pani Teresa Stecki-wicz. Czuwa też przewodniczący Oddziału, Marian Chojnowski. Nie będzie jednak żadnych interwencji. Strajk przebiega spokojnie. Można znaleźć wreszcie trochę czasu na refleksje, a nawet popatrzeć w okno. Cicho, spokojnie i szaro wygląda łomżyńska ulica. Nieliczni przechodnie nie zauważają nawet niewielkich, czarno-białych plakatów odbitych na powielaczach: „Rozdział mięsa na wszystkie województwa musi być równomierny!”, „Władzo PRL! Udzielając pełni uprawnień Społecznej Radzie Gospodarki Narodowej pozyskasz zaufanie i współpracę całego społeczeństwa”, „Zaprzestań represji przeciw działaczom związków”.

Dochodzi trzynasta. Za moment znów zawyją syreny. Pracownicy zwrócą władzę dyrekcji. Zacznie się normalna praca.

KTO DECYDOWAŁ?

Łomża, Górka Zawadzka. Na budowach prawie zamiera ruch. Gdzieś niedździe przy pracy uczniowie „budowlanki”. Gdy o 12.20 wchodzi do świetlicy na sali jest około 60 osób. W większości — z „Solidarności”. — Wczoraj Komisja Zakładowa LPB zwołała zebranie przedstawicieli Związku ze wszystkich zakładów. Przez dwie i pół godziny omawialiśmy sprawę przystąpienia lub nie do strajku. W tajnym głosowaniu wszyscy byli „za”. Tylko z waszego zakładu nikogo nie było. — Bo nie wiedzieli — odpowiada sala. — Pytano — kontynuuje przewodniczący KZ, Różański — czy będziemy domagać się zapłaty za strajk. Nie będziemy. Tę godzinę dziennie i tak marnujemy na przestojach, a poza tym „Solidarność” dała nam największą rekompensatę wśród grup zawodowych, średnio 1100 złotych. Decyzję o dzisiejszej akcji oznajmił dyrektorowi. Postawiliśmy problem kiosku dla KGR-1. Obiecał, że do 7 listopada kiosk będzie, a w nim 1 kg wędliny na kartki dla każdego pracownika. Postaramy się też o konserwy, olej i smalec.

Jeszcze 25 minut protestu. Młody człowiek, inteligentna twarz, czysto ubrany: — Chcę wiedzieć, kto zdecydował o strajku? „Góra” Związku czy „doby”? Pytanie podnosi temperaturę masówki. Z przeciwnej strony sali zrywa się rówieśnik pytającego. — Jak to kto? Skoro tu jesteśmy, to wiemy, po co. Nikt nas nie zganiał. Mityguje Różański. — Nie jestem za strajkiem. Jak będzie trzeba, przyjdę pracować nawet w niedzielę, chociaż jestem katolikiem. Ale muszę mieć gwarancję, że ta praca nie pójdzie na marne. Muszę mieć zaufanie. A jak zaufać gdy rząd „Solidarność” zajadłe szkaluje. Jaki efekt? Gdzie nie pójdziesz w oczy ci plują, że winna nędzę. Z sali słychać: — Nikt nikogo do strajku nie namawiał. Proszę bardzo, nawet teraz robią na budowie, nikt im nie przeszkadza. Atakowani z trudem przebija się do głosu: — Nie jestem członkiem partii ani „Solidarności”, ale chciałbym znać prawdę.

Irytacja zebranych: — To kto ty jesteś? No, kto? Powiedz jasno! — Pracownik — zaskakująca odpowiedź wycisza świetlicę. Różański zamyka dyskusję: — U nas „góra” nie decydowała. Dziś do godz. 11.00 przedstawiciele zakładów mieli ustalić, czy ludzie chcą strajkować. Do tego czasu wstrzymaliśmy nawet flagowanie.

STRAJK JEST ZŁYM

W bramie Łomżyńskiej Odlewni Zeliwa wartownik. Przed wejściem hasła. Żalobnie, czarnymi literami wypisane: „Strajk jest złym” i dla odmiany na czerwono: „Nam pozostaje tylko strajk”. W świetlicy między dwunastą i trzynastą ma się odbyć spotkanie z doktor Haliną Seskiewicz — doradczą Oddziału NSZZ „Solidarność” w Łomży. Dwunasta. Milkną maszyny. Jeden z robotników, wciągając białoczerwoną opaskę na ramię, zwołuje robotników: — Kamraci! Do świetlicy na zebranie!

Ceremonia przedstawienia gościa i głos zabiera pani Seskiewicz. Stawia w pierwszej kolejności temat: przyczyny dzisiejszego strajku. Wymienia je, omawiając kolejne punkty. A propos strajków. My wiemy, że to miecz obosieczny. Ale zobaczcie państwo, że nas nie słuchają w innej formie. Jak prowadziliśmy rozmowy z wojewodą, to dokument końcowy został podpisany tylko dlatego, że za plecami stała cała załoga „Bawelny” i w każdej chwili groził strajk. No i uzyskali, że żywiec, który jest skupowany na naszym terenie będzie też tu ubijany. Bo po co go wozić do Białegostoku czy Ostrołęki, marnować część po drodze i dostawać gorszą jakość? Już nasze masarnie przystosowują się do uboju i od listopada będzie się to robić na miejscu.

Za tę godzinę najprawdopodobniej nam nie zapłacą, ale jeżeli ktoś ma taką potrzebę, to zapłacimy z naszych, związkowych. Może są jakieś pytania?

— Dlaczego za tę godzinę nie płać?

— Proszę pana! Uważają, że strajk polityczny nie mieści się w statusie naszego związku. I teraz każda sprawa, czy dotyczy żywności, czy czego innego jest polityczna.

— Mówią: brak, brak! W SKR-ze sam widziałem, jak łopatami mięso z beczek świniom wyrzucali!

— Trzeba meldować, meldować. — Co z takiej kontroli, jak pójdzie sam na zaplecze, wyjdzie z pełną teczką, a kolejką jak stała tak stoi!

— Teraz będziemy sami chodzić na kontrole, z upoważnieniem na nazwisko. Człowiek przez nas wybrany, jesteśmy pewni, nie dopuści się czegoś takiego. I zawsze będzie jeszcze dobierać dwie osoby z kolejki.

— Za mało tych, co zostawiają na zapleczu, kolegium karze! Mężczyzna siedzący po przeciwnej stronie, spokojnie i z rozwagą mówi:

— Coś mi się zdaje, że nasza rozmowa schodzi na niewłaściwe tory. Niech każdy zajrzy w swoje sumienie, niech zacznie od siebie. Przecież wiemy, że tacy, o jakich mówimy są też w „Solidarności”, są na to fakty. Nieodpowiedzialnych trzeba wyrzucać, bo to nas wszystkich hańbi.

MOTYWY SUPERSPRAWIEDLIWOŚCI

Szefostwo Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy Przedsiębiorstwie Przemysłu Spożywczego w Łomży dalekie jest od witania w mojej osobie bratniej duszy:

— Na zakład pani i tak nie wpuszcimy. Bo co pani napisze, to napisze, a co cenzura zrobi to inna sprawa, dlatego nie. Proszę zresztą powiedzieć, jak możemy mieć zaufanie, kiedy w „Życiu Warszawy” pisze, że zamiast 12 paczek papierosów należy się cukierków za 120 zł, za kartkę wódczaną można kupić słodyczy, kakao lub kawę za 200 zł, a u nas w województwie? Proszę bardzo; niecałe pół kilograma cukierków za miesięczny przydział papierosów, a dla abstynentów — słodyczy wartości 150 zł. To co jest? Inna sprawa: prominentów, którzy rozłożyli na łopatki gospodarke rozlicza się od roku i dalej końca nie widać. A jak po strajku prasowym zabrano się za kioski w dwa dni było po kolegach orzekających. Za przetrzymywanie towaru wartości 262 zł! To jest sprawiedliwość?

Ow motyw: super sprawiedliwości, uczulenia na wszystko co nie po równo, pojawiać się będzie co krok w rozmowie. Również wówczas, gdy skruszeją nieco niewidzialne lody i wiceprzewodniczący KZ Marek Kamiński zdecyduje się zabrać mnie na tę strajkową godzinę na teren browaru. Kobiety z rozlewni piwa, zaproszone do wypowiedzi wyrzucają jedna po drugiej:

— Ten strajk jest potrzebny — nie mamy co jeść. Jak to jest, że wszystkie dostawy na rynek naraz się urwały. Przecież nasza np. produkcja idzie na poziomie ubiegłego roku. — Ale piwa w sklepie też nie ma. — Niech dziękują co jest, ale sprawiedliwie; w naszym województwie jest 60-procentowe pokrycie kartek mięsnych, a w innych tylko 15. — Dlaczego nie ujednolicono od razu systemu kartkowego? — Albo z cukrem — kartki są, a

cukru dalej nie ma! — To samo z watą. Czy mamy w ciężę hurmem zachodzić, żeby się bez niej obejść? Ale pieluch też nie ma!

— Przegadamy tę Polskę — sumuje któraś dyskusję. Podobne poglądy w kapslni, która również, jako jeden z nielicznych wydziałów przedsiębiorstwa, podjęła strajk. Kilka kobiet stoi przy wyjściu i tęsknie spogląda w stronę zakładowego kiosku: isć do kolejki czy strajkować? — pytają. Później mogą je przecież ubiec inne. Tak są tym zaambarasowane, że na pytanie: co ma dać strajk, odpowiadają bez namysłu: — Żywność. I dalej: — Jeśli się pracuje, to po pracy nie ma szans, by cokolwiek dostać: są inwalidzi, renciści, którzy dostają co chcą dzień w dzień i handlują tym później; czy nie można tego kontrolować, uporządkować, dać wszystkim równo?

— Ale może być i tak, że nie będzie co dzielić, nawet najrówniej — próbuję podjąć wątek. — Znam wiem — wyjaśnia jedna z robotnic. — Mają, ale nie sprzedają, dopóki nie dostaną w zamian artykułów przemysłowych.

— Jeżeli będą wieczne strajki, to tym bardziej ich nie dostaną!

— To jest nasza jedyna broń: jeżeli nie przypominamy się, to zapominają o nas.

O co tu pytać dalej? — Czy mają świadomość niebezpieczeństwa, czy mają na tyle wyobraźni, by przeczuć bliskość tego, co nadchodzi? Jak ukierunkować ów strumień potrzeby zachłystywania się własną siłą, by zrodził on rzecz wartościową dla kraju, dla jego przyszłości? Dla kogo to zadanie?

Jakby w odpowiedzi z zakładowego nagłaśniaacza płynie głos komentacza radiowego: ile ton, ile złotych kosztuje strajk, które zakłady przystąpiły, ilu potępiło. Tarabani starymi argumentami, nie dającymi ani krzty światła w labiryncie. Nawet gdyby człowiek, uwikłany w pościg za wata, skarpetą itp. chciał rozwikłać dylemat: strajkować czy nie — musi to zrobić wyłącznie własnymi siłami. Najczęściej rozpędem i bezwładnością wybiera strajk. Jako potwierdzenie własnej siły, ale i źródło pewnej nadziei: że jak się coś robi — niechby i demonstrację nic nierobienia — to jest szansa, że coś ruszy, zmieni. Jak, w którą stronę — to inna sprawa. Gorzko mści się wieloletnia niechęć przywódców do bezpośrednich rozmów, tematów „tabu”, do dialogu i wyjaśniania ludziom „linii” — tego wszystkiego, co składa się na nasze ogólnospołeczne wartości.

Czy teraz jest inaczej? Czy rzeczywistość ta świadomość klasowa wystrzeliła niczym raca, obłana w nowe, zrozumiałe i akceptowane przez wszystkich hasła?

Pośrednio, na pytania te odpowiada sam przewodniczący KZ NSZZ, Józef Kiersztan: — Autokratyczna działalność poprzedniego dyrektora Piłskiego doprowadziła do upadku moralnego tej załogi, daleko jej do wysokiego morale, poczucia odpowiedzialności za zakład, kraj.

Ciąg dalszy wywodów przerywają dwie biurowe panienki, które przyszyły do strajkowego „sztabu”, by wyprosić wstęp na teren zakładu, a ściślej — do zakładowego sklepiku.

— My chcemy jeść — rzucają wyzywająco.

— A mnie się chce płakać, a lzy nie kąpią — żali się w podobnym tonie przewodniczący — wpuszczymy po pierwszej i koniec.

Wracamy do rozmowy: — Jak wyglądają przygotowania do strajku? Jakich argumentów używajecie w rozmowach z załogą?

— Zrobiliśmy serię zebrań na oddziałach. Większość, ze względu na proces technologiczny, którego przerwanie groziłoby zbyt dużymi stratami wyłączyliśmy ze strajku — wyjaśnia Marek Kamiński. — Wziąłem uchwałę nr 94 KK i omawiałem poszczególne punkty. Np. ten „działania podejmowane przez władze mają charakter chaotyczny i powodują jedynie dalsze pogarszanie się sytuacji. Społeczeństwo tak dalece utraciło zaufanie do władz, że nie wierzy ani w oficjalną ocenę sytuacji, ani w szczerość woli jej poprawy, ani w konsekwencję i uczciwość w realizacji programu naprawy. Brak zaufania jest tym większy, że władza odmawia społeczeństwu prawa do rzeczywistej kontroli swych poczynań”. W związku z czym — tłumaczyłem ludziom — domagamy się, by władza w trybie natychmiastowym przyznała odpowiedzialnie

uprawnienia dla Społecznej Rady Gospodarki Narodowej oraz dla związkowych komisji kontroli społecznej. Taka Rada byłaby społecznym ciałem, wyłączonym od rządu, mającym dostęp do wszystkich dokumentów rządowych.

— Jak pan rozumie ową społeczną działalność. Jeżeli np. wytypują Pana...

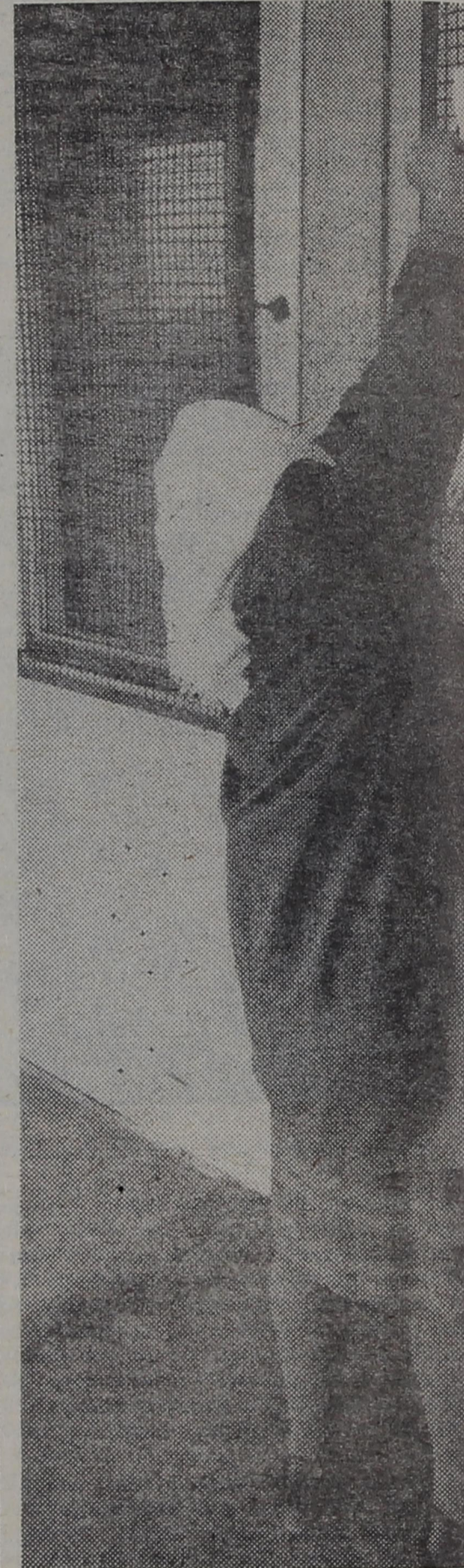
— Społeczne, to znaczy opłacane przez społeczeństwo, a nie działające społecznie. Na pewno nie wchodziłby do niej robotnicy, a profesoria, naukowcy, ludzie godni zaufania; gdyż wierzymy, że ludzie mądrych jest dużo, tylko nie dopuszczają się ich do głosu.

— Kto konkretnie? Kogo np. wytypowałibyście z województwa?

— Nam jest bliższy teren zakładu. — To kto w zakładzie jest mądry, a niedoceniany?

— No, przecież nikt nas o zdanie nie pyta. — Nie padnie ani jedno nazwisko.

— Co po strajku?



— Jeżeli nasze żądania nie zostaną uwzględnione, to KK ogłosi termin strajku czynnego.

— Na czym będzie polegać?

— Załogi będą dystrybutorami swych wyrobów, kierując je bezpośrednio do sklepów.

Co, w pierwszym spojrzeniu, dostrzeże w tym argumentach umęczony wyczekiwaniem na dostawy człowiek: skrócenie biurokratyzowanej drogi towaru do sklepowej lady.

— Ale wiadomo przecież, że przyswilej dysponowania państwowym, społecznym majątkiem należy do władzy. Zatem?

— No, to nie jest jeszcze dograne w szczegółach.

— Ludzie nie prosili o nie?

— Nie, zresztą my ich nie znamy.

PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA

Zajeżdżam pod „Bawelnę” w momencie, gdy odzywa się syrena, za nią druga. Drzwi wejściowe do biurowca, na których wisi plakat z napisem „Strajk godzina 12—13”, zamknięte. Człowiek za szybą z białoczerwoną opaską energicznie wymachuje ramię. Nic z tego. Idę pod budyneczek portierni. Ten sam zwyciężył napis „Strajk” i również szla-



ban. Na szczęście uchylone jest okno, za nim miła pan i — co ważne — telefon. Proszę o przekręcenie do zakładowej komisji strajkowej. Nikt się nie zgłasza, za to w pokoju pojawia się straż robotnicza. Dostali przykaz „nikogo nie wpuszczać”. Po moich błaganiach i namowach jeden z nich decyduje się pójść zapytać o zgodę wiceprzewodniczącego narewskiej „Solidarności” Lecha Kozia. Poszedł i zginął.

Się następnego kuriera.  
Ten wraca z odpowiedzią jak wyżej. — Wejdz pan po strajku — pociesza mnie „bramkarz”. Ba! Próbuję więc uzyskać od niego informacje.

- Nic nie powiem — odpowiada.
- Zabroniono wam mówić?
- Nie zabroniono, ale nie było też decyzji, by informować.
- Ależ nie będę pytał o tajemnice związkowe, a tylko o pańskie osobiste odczucia!
- Bardzo mi przykro, może i nam

wierzyli, że strajk coś zmieni, lecz wszystkie trzy zmiany opowiedziały się za nim. Przed strajkiem mieliśmy przykry incydent — włącza się do rozmowy Kozioł — plastyczka zakładowego ośrodka propagandy i wychowania dostała polecenie, by nie malować nam plakatów strajkowych.

Tuż przed godziną dwunastą w „Solidarności” złożyła podanie Krystyna Małachowska, brakarz przeglądacz, z prośbą o skreślenie jej z listy członków, gdyż przechodzi do branżowych. „Denerwują mnie strajki organizowane przez »Solidarność« — napisała w podaniu — oraz odstąpienie od demokracji głoszonej przez Związek”. Przed strajkiem dokładnie poinformowano załogę o celach tego protestu. Przez radiowęzeł przeczytano telex o roli i zadaniach Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, podano przykłady represji wobec działaczy związkowych. Podczas strajkowej godziny spotkanie z załogą mieli księża wydelegowani przez Kurię Biskupią na prośbę pracowników, którzy chcieli wsparcia duchowego.

— W trakcie strajku mieliśmy telefon z głębi kraju — mówi Renata Burzyńska — zadzwonił nasz kierowca, by powiedzieć, że jest z nami.

Według „Solidarności” pracowały tylko cztery osoby w produkcji i trochę więcej w administracji.

Pukam do branżowców — zamknięte. Za to w pokoju KZ PZPR zastaje Michała Gajosa, członka sekretariatu i Henryka Podwisiaka, pracownika radiowęzła.

— Odcieśliśmy się od strajku jako politycznego — mówi Michał Gajos — zabezpieczyliśmy pracę dla tych, którzy wyrazili na to chęć. Osobiście byłem zaskoczony obecnością kleru. Kampania „Solidarności” przed strajkiem była jednak spokojna i dyskretna. Czy ktoś złożył legitymację?

— Tak, zaraz po IV Plenum szef „Solidarności” (tu pada szpetny komentarz). „Ponieważ ostatnie plenum KC PZPR poleca przekształcić PZPR w gang administracyjny — umotywował swoje wystąpienie Kurelski — co sprzeczne jest z moimi przekonaniem. Uważam, że moje miejsce jest w »Solidarności«, razem z załogą”.

— Kto nie strajkował? Trzynastą osób z samej tkalni — mówi I sekretarz Łukasik, który właśnie wszedł do pokoju. Statystyka, jak z tego widać, zależy od źródła informacji. Pytam o postulat „Solidarności” powołania Społecznej Rady. — Ten projekt został wywołany przez partię — odpowiada Łukasik — „Solidarność” usurpuje sobie jednak patent na decydowanie, z pominięciem innych.

— W zasadzie to nie znamy w pełni — włącza się Gajos — ani projektu rządowego, ani „Solidarności”.

— Czy komitet zakładowy zdołał wykruszyć chociaż kilka cegieł w murze dzielącym go od załogi? (organizacja partyjna liczy 482 członków).

— Wrażenie jest jedno. Idzie bardzo ostra krytyka antypartyjna, oddolna — wyjaśnia tę kwestię Gajos — po części wina tkwi w nie w pełni odnowionej partii.

Nie odzyska zaufania, jeżeli definitywnie nie rozstanie się z przeszłością. To jest zadanie na dziś, a kto wie, czy nie na wczoraj.

### KIESZEŃ PEŁNA NADZIEI

Na kilkanaście minut przed dwunastą w przyszłej hali napraw ciągników, budowanej własnymi, jak to się mówi, środkami, grupa młodych ludzi zgromadziła się pod oskłoną ścianą. Rozmawiają o czymś, rozglądając się na boki. Czekają właściwego sygnału. Ryszard Kienigsman, budowlanec z krwi i kości, którego ręce prawie całą nową Łomżą pobudowały, pracuje w POM-ie od 1979 roku, niejedną niedzielę, wolną sobotę poświęcił dla zakładu. A tu teraz strajk! Ale jest przecież członkiem „Solidarności” od początku istnienia w zakładzie i chce się podporządkować decyzji o przerwaniu pracy na godzinę. Doskonale wie, że sytuacja na rynku wcale się nie zmieni, że niczego od jego strajkowania w sklepach nie przybędzie, ale jakby to wyglądało, gdyby on jeden z decyzji się nie wywiązał! Co by ci młodzi powiedzieli!

Do zakładowej stolarni trzeba przejść przez portiernię. W ciasnym pomieszczeniu parę sprzętów i maszyna, przy której pracuje Stanisław Kuźnicki, też członek „Solidarności”.

— Ja nie strajkuje, bo mam robotę. Nikt za mnie tego nie zrobi. Przychodź do mnie, mówili, żeby strajkować. Każdy jednak widzi, co

się dzieje, jak jest. Co mi da ten strajk? Do kieszeni na pewno nic.

Kiedy na powrót chcę wejść na zakład zagradza mi drogę przewodniczący zakładowej „Solidarności”, Piotr Chludziński. Tłumaczy, że mam pozwolenie wejścia z dyrekcji. — Nie wolno, myśmy na godzinę przyjęli władzę i dyrekcja nie ma nic do tego. Trójka w białoczerwonych opaskach wchodzi na portiernię. Piotr Chludziński, pracownik wypożyczalni narzędzi, nie chce w ogóle rozmawiać, bo „nie ma o czym mówić”. Decyzja o strajku zapadła dziś. Na zebraniu zakładowej komisji — nie ogólnym. Zgodnie z uchwałą, przesadzili o strajku. Później rozeszli się po zakładzie, by ludzi o nim powiadomić. Nikogo nie namawiali, niech każdy robi tak, jak mu sumienie dyktuje.

Kilkanaście minut do godziny pierwszej schodzi mi na słuchaniu narzekania na braki w sklepach i pytaniach: dlaczego został zatrzymany Lech Gizelbach (mówię, że to nieprawda, że nie jest zatrzymany); dlaczego rząd nic nie robi; dlaczego jest tak jak jest i nic się nie zmienia.

Wszyscy mają świadomość tego, że nic się nie wskóra, ale podporządkować się trzeba. Punktualnie o godzinie pierwszej włącza się zakładowy buczonek. Zwinięte solidarnościowe flagi dwóch pracowników nie się pod pachą.

### KŁOPOTY Z POROZUMIENIEM

Jeszcze w godzinach porannych nastroje w wydziale organizacyjnym KW PZPR w Łomży, gdzie zwykle koncentruje się wewnętrzna informacja partyjna, były w miarę pogodne. Ze stolicy nadchodziły telexy, krzyszające partyjne siły:

■ „Zapowiedziany na dziś przez KK »Solidarność« generalny strajk ostrzegawczy spowodował dość liczny napływ do KC rezolucji i uchwał organizacji partyjnych i społecznych, które protestują przeciw dalszemu zaostrzeniu sytuacji gospodarczej i wyrażają swój sprzeciw wobec dzisiejszego strajku. POP w Zarządzie Przedsiębiorstwa Państwowego Komunikacji Samochodowej w Warszawie pisze w rezolucji, że »w pełni popiera propozycje czasowego zawieszenia prawa do strajku i potępią wyniszczające gospodarke narodową strajki«.

■ „Komitety wojewódzkie informują o działaniach podejmowanych dla minimalizowania skali zasięgu strajku, ugruntowania wśród społeczeństwa przekonania o jego destrukcyjnej roli”.

■ „Według wielu komitetów wojewódzkich z dużym zainteresowaniem spotkał się program telewizyjny »Węgry 1956«. Nie brak stwierdzeń, że przypomnienie wypadków na Węgrzech stanowi rodzaj przestrogi do czego może dojść w naszym kraju w przypadku dalszego wzmagania napięcia przez »Solidarność“.

Podobny ton w meldunkach z Łomżyńskiego: „Komitet Gminny PZPR w Kobylinie-Borzymach informuje, że na odbytych dotychczas zebraniach członkowie partii popierają stanowisko IV Plenum KC w sprawie strajków i wolnych sobót, i wyrażają przekonanie, że uchwały IV Plenum, zgodnie z ich odczuciami, zostaną w całości wykonane. Wyrażają wolę ofensywnego działania Partii i podjęcia kroków uniemożliwiających blokowanie decyzji rządu”.

Komitet Miejsko-Gminny w Grajewie donosi: „Kilka osób spośród kadry kierowniczej złożyło oświadczenia na zebraniach załóg o wystąpieniu z »Solidarności« o ile dojdzie do strajku w dniu 28 listopada br.”.

Komitet Gminny w Wasoszu zapewnia: „Z kontaktów z mieszkańcami naszej gminy wynika, że nie popierają ani strajków ani innych form godzących w spokój społeczny i normalną pracę”. Na zebraniach partyjnych „podnoszono generalnie problem, ażeby nasze władze centralne, poza dokumentami mocnymi w swojej treści podjęły praktyczne działania w stosunku do tych przewoźców »Solidarności«, którzy jawnie, nie przebieierając w środkach, walcą o obalenie władzy ludowej, socjalizmu i dążą do jej przejęcia we własne ręce. Zlikwidowanie na szczeblu centralnym kilku rozrabiaczy byłoby zimnym przysięciem dla pozostałych i opamiętaniem w dalszej ich działalności”.

Partia robiła wszystko, żeby nie dopuścić do strajku, a przynajmniej zmniejszyć jego zasięg. Z informacji skierowanej do KC PZPR: „Komitet

Wojewódzki PZPR w Łomży przed dniem 28 X podjął szereg przedsięwzięć, celem których było wyjaśnienie podłoża strajku godzinowego. Działania wyprzedzające zapoczątkowane zostały naradą aktywu partyjnego z udziałem pierwszych sekretarzy instancji w dniu 26 października br. Następnie, w tym samym dniu i nazajutrz, podobne narady z udziałem pierwszych sekretarzy POP i dyrektorów zakładów odbyły się we wszystkich instancjach partyjnych. Szereg organizacji partyjnych podejmuje uchwały potępiające takie formy działalności NSZZ »Solidarność«. Większość branżowych związków zawodowych nie popiera tej formy protestu. Na ogół zatrudnionych w gospodarce społecznej 62 500 osób pracujących w godzinach 12—13, powinno być 60 tysięcy w pracy”.

W samo południe, a więc z chwilą rozpoczęcia strajku Wydział Organizacyjny nie dysponuje bliższymi informacjami o jego zasięgu, ale już wiadomo, że wysłana do centrali informacja była nazbyt optymistyczna. Pierwsze meldunki z terenu napływają dopiero po trzynastej. Są lakoniczne, ale wiele mówiące. Odbierają je zastępcy kierownika Wydziału Organizacyjnego: Celina Jankowska i Janusz Mariak. Są zaniepokojeni nie tylko powszechnością strajku w zakładach produkcyjnych, lecz także naiwną, ale i szkodliwą decyzją: rzucenia większej ilości towarów do sklepów i kiosków w Łomży, Grajewie i paru innych miejscowościach.

— Co to za polityka zaopatrzeniowa?! — komentuje Jankowska. — Wiadomo, że towarów nie ma, a tu raptem się znajdują. Tylko woda na myln dla tych, którzy mówią: „Przyćśnić, a wszystko się znajdzie”.

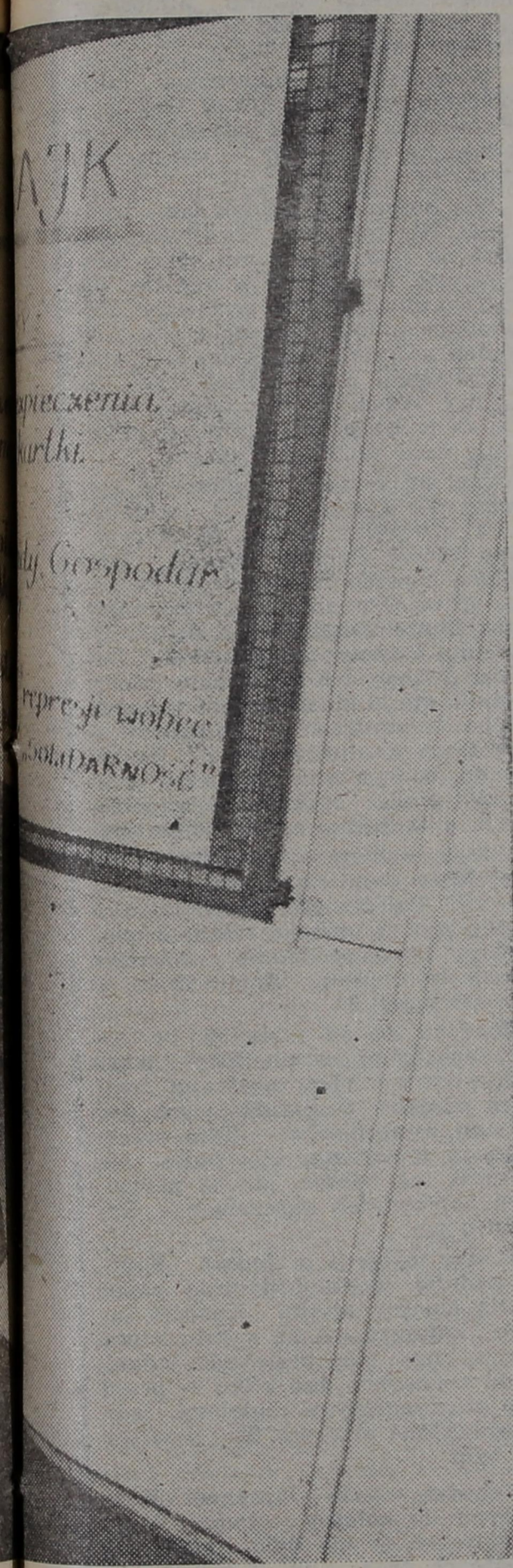
Jest pierwszy telefon z Fabryki Mebli w Łomży. Miejska instancja partyjna skierowała tam mocną ekipę: I sekretarza, Mieczysława Czerniawskiego i prezydenta Łomży, Jerzego Newelskiego. Próbowali przemówić do rozsądku, nawiązać nić porozumienia. Nie pomogło, załoga zastrajkowała.

Są już pierwsze meldunki z terenu. Oddają ich treść tak, jak zanotowała Jankowska:

„KG Kobylin-Borzymy: Wszystkie zakłady pracowały. GS wywiesił flagi narodowe. Szepietowo: Spokój, ład i porządek. Nie pracował zakład budowlany, ponieważ wystąpiła w tym czasie awaria urządzeń. Ten zakład wywiesił również flagi. Klukowo: pracowały wszystkie zakłady. Większość społeczeństwa jest oburzona na wszystkich strajkujących w kraju. Sokoly: w czterech zakładach nie pracowano; dotyczy urzędu pocztowego, posterunku energetycznego, ośrodka zdrowia i zakładu stolarki, w którym dopiero w południe zorganizowano zebranie. Przewodniczący zakładowej »Solidarności« wziął pod uwagę apel sekretarza POP o nieprzystąpienie do strajku. Dlatego na zebraniu nie zachęcał do podejmowania strajku. Członkowie »Solidarności« wyrazili votum nieufności do niego i na najbliższym zebraniu zapowiedzieli wybór nowego przewodniczącego. Ciechanowiec: W filii siemiatyckich zakładów skórzanym nie pracowało 30 osób, jeden wydział — to jest 30 proc. Nie wyprodukowano 64 par butów. Miejskowy zakład produkcji zabawek — nie pracowało 3 procent załogi, w „Apisie” — 30 osób, to jest połowa zatrudnionych. We wspomnianych zakładach skórzanym ograniczono czynności sekretarza POP: mogli tylko dzwonić w obecności komitetu strajkowego. Odgłosy: strajkujący nie znają przyczyn strajku; aktywu partyjny żąda pokazywania w telewizji »Solidarności«, jak tej z województwa zielonogórskiego; nie pokazywać takich reportaży jak ten o Węgrzech 1956”.

Najbardziej kuriozalny meldunek nadszedł z Okręgowego Zakładu Transportu Maszyn Drogowych w Wysokiem Mazowieckiem, gdzie pracowali wszyscy robotnicy, strajkowała zaś administracja.

Ogółem w województwie strajkowało 8,5 tysiąca osób, ale tylko 14 procent zakładów. Są to jednak fabryki, przedsiębiorstwa a nie instytucje i urzędy, które też wlicza się do ogólnego stanu. Z najmniejszym poparciem spotkał się strajk w Zakładach Płyt Włórowych w Grajewie, gdzie podczas rannej zmiany nie przerwało pracy w południe 330 osób na 530 obecnych przy maszynach.



pan współczuje, ale nie można robić bałaganu.

Po takim dictum nie pozostaje nic innego jak spuścić nos na kwintę, łączyć w te i wewte, od portierni do portierni. Oni za siatką, ja przed. Sytuacja jak w ZOO. Przed zakładem zajeżdża wóz milicyjny, robi rundę i odjeżdża. Przed godziną trzynastą u drzwi czeka grupka ludzi. Wśród nich kierownik jednego z działów.

— Cholera, własny pracownik z mego działu nie chce mnie wpuszczać — zżyma się głośno — wzięli by rządzących za łeb, a nie strajkowali.

Syrena. Koniec strajku. W pomieszczeniu „Solidarności” tłoczno. Są też trzej księża. Lech Kozioł sumituje się przede mną za nie wpuszczenie na teren zakładu. — Poprzednio był mój kolega redakcyjny — tłumaczy powód — zrobił ciekawy materiał i nic z tego się nie ukazało. Podczas głosowania na przystąpienie do strajku — wraca do wydarzenia dzisiejszego dnia — tylko dziewięć osób z produkcji było przeciw (załoga liczy 3200 osób, z tego 90 procent to członkowie „Solidarności”).

— Ludzie byli przynębieni — odpowiada Renata Burzyńska — nie



Jakże aktualne są niektóre reminiscencje i uwagi zapisane przed wiekami. Opisując zabójstwo kasztelana Wapowskiego, Świętosław Orzelski przytacza również wyrok, jaki w tej sprawie wydał Henryk Walezy, i tak komentuje banicję Samuela Zborowskiego herbu Jastrzębiec: „Przeczytany wyrok żadnej niezadowolonej strony. Zborowscy mniemali go surowym, Wapowscy zbyt łagodnym, jakoż obiedwie strony wstrzymywały się od dzięków, i owszem wdowa zabitego zalana łzami, od złorzeczeń na króla wstrzymać się nie mogła: »jeżeli tak na mężobójców masz być sprawiedliwym — wołała wychodząc — niechże ten twój wyrok będzie ostatnim«. — Prymas odezwał się, iż pierwszy raz zdarzyło mu się słyszeć, iż z kryminalnej sprawy zrobiono cywilną. W oddalonych prowincjach, gdzie mniej passyje działały, wyrok ten powszechną grozę wzniecił. W samym Krakowie po wszystkich ulicach, na bramach, nawet zamkowych, przylepiano szarpiące króla paszkwile».

Dziś, podobnie jak za czasów Walejusza, chwalimy sobie kompromis i myślimy, że to środek zbawiający. Bo nieraz takim się okazał. Ale kompromis przy słabej władzy i niezadowolonych stron zainteresowanych rozstrzygnięciem sprawy — to klęska. Uważam, że jeden z znanych mi — ten olsztyński — telewizyjny reportaż red. Samitowskiego był tendencyjny, a nawet nie fair, gdyż ludziom, którzy odbyli jakąś karę, „odcierpieli swoje” nie należy o tym przypominać. I to w dodatku publicznie. Innej argumentacji już nie trzeba rozwijać, choć można ją znaleźć bez trudu. Tymczasem Sąd Koleżeński o moralnym czy prawnym zatarciu kary i niestosowności informowania o niej nawet nie wspominał, dopa-

## KWIATEK DO KONTUSZA

tricki są możliwe. Znałem „speców” od materiału dźwiękowego, którzy wycinali fragment zdania „na zgłosce”, łączyli z innym wygodnym fragmentem, przegrywali niejako włączając w usta człowieka coś, czego on nigdy nie powiedział. W TV podobne chwyt eliminuje technika. Widoczny na obrazie ruch warg zdradzi, że człowiek mówi co innego, niż to głosi tekst ze ścieżki

# WSZYSTKO dla WSZYSTKICH



trując się uchybienia tam, gdzie go nie było: w nieuwzględnieniu przez Samitowskiego pozytywnych opinii o jednym z bohaterów swojej audycji. Również naciągany jest zarzut selektywnego wykorzystania zgromadzonych materiałów. Oczywiście, taka selekcja może zniekształcić sens wypowiedzi. Każdy skrót zmienia prawdę całości. Zmienia ją także brak skrótów, obrazujący gadulstwo, nawroty myślowe, niesprawność intelektualną. Jeśli mam wybierać między nudą a uproszczeniem, wolę uproszczenie. Rozmówcami red. Samitowskiego nie były dzieci, ale dorośli, świadomi tego, że ich wypowiedzi to materiał do dalszej obróbki. Nikt ich nie zmuszał do rozmowy. Nikt też z pojętych na strzępy słów nie sprzecyzował wypowiedzi w ten sposób, żeby zawierały one treści odmienne od wygłoszonych. W radiu podobno

dźwiękowej. Trzeba by na nowo synchronizować dźwięk i obraz, czyli uświadomić rozmówcę, że ma on powiedzieć co innego niż powiedział. Czyli ryzykować zdemaskowanie kłamstwa. Samitowski nie włożył w usta swoich rozmówców czegoś, czego oni nie powiedzieli, a tylko z półgodzinnego nagrania wykorzystał dwie minuty. Może powinien dwadzieścia, może minutę?

Trudno tu o receptę. Wyrok Dziennikarskiego Sądu Koleżeńskiego zda się sugerować, że taka recepta istnieje. A nade wszystko — że dziennikarz nie ma prawa do obróbki zebranego materiału. Czesław Miłosz, podczas krótkiego pobytu w Polsce, zaprezentował swoją dopiętą interpretację znanej platońskiej metafory jaskini. I przecież ma rację twierdząc, że to telewizja przedstawia nam nowy, jakże niewspaniały, świat cieni.

To medium (według Mc Luhana — środek przekazu) zdaje się być w szczególności sposób predysponowane do pływaczności, powierzchowności, swistej tandety. Doprawdy prawie każda próba poważniejszego potraktowania jakiegoś tematu, pokazania całej jego złożoności, kończy się nudziarstwem, pospolitym truciem i „nocniczkami” (e... e... e...) jakby myśl — podobnie jak niektóre kwiaty — nie pozwalała fotografować chwili swych narodzin. To zdumiewające zjawisko.

Obserwowałem kiedyś w TV dyskusję o wartościach. Temat modny już prawie od stu lat. Ale w TV poza banały nie zdołano wyjść. Widocznie o wartościach powinni dyskutować aksjonolodzy na łamach fachowych miesięczników. Jednocześnie w TV każda dowolność, niedokładność, niesłychanie szybko przemienia się w fałsz. Pamiętam, jak przed laty oglądałem dziennik w towarzystwie ludzi dowcipnych. DTV poprzedzał wtedy sygnał dźwiękowy oraz zmieniający się układ elips i parabol. Ten znak graficzny był zupełnie nie przemyślany. Pasował raczej do jakichś wykładów z geometrii sferycznej. Tego wieczoru ktoś powiedział: „O, już zaczyna się to owijanie w bawełnę”. Za kilka miesięcy, w innym mieście, wśród innych ludzi, usłyszałem podobny komentarz. Za dwa lata potocznie nie nazywano dziennika inaczej niż „owijanie w bawełnę”.

Informacja o takiej nazwie musiała dotrzeć do zainteresowanych czy decydentów, bo przecież jeszcze przed sierpniem zmieniono niefortunną zapowiedź. Telewizja nie wytrzymuje również tzw. eksperymentów. Tu trzeba wchodzić na pewniaka, bez poronionych innowacji. W czerwcu próbowano przekazywać wiadomości na tle i przy akompaniamencie dalekopisów. Szybko trzeba było z tej innowacji zrezygnować. Zaprotestowali ludzie, bo: a) hałasu i tak mamy za dużo, b) nikogo nie interesują tajniki kuchni. Na ogół wolimy gotowe produkty.

Wspominam o perypetiach telewizyjnej informacji dlatego, żeby wskazać na możliwie szeroki kontekst sprawy red. Samitowskiego. Bez uwzględnienia wszystkich okoliczności trudno ferować surowe wyroki. Pisano, że był to proces o przekonania; mówiono w kuluarach: „Samitowski oberwał za nieliczenie się z »Solidarnością« i opinią społeczną”. Przepraszam, ale czy „Solidarność” (kto: KKP, masy członkowskie, zarządy regionów?) to opinia społeczna? Opinia społeczna nie jest nigdy solidarna czy skłócona. Raczej zróżnicowana. I właśnie to zróżnicowanie stanowi szansę demokratycznych zmian. Również szansę „Solidarności”.

Opinię społeczną trzeba poznawać i badać. Występowanie w jej imieniu jeszcze przed poznaniem może uchodzić za akt nierozwagi czy demagogii. Opinia społeczna nie dysponuje żadnym aparatem represji lub restrykcji. Nie wymierza sprawiedliwości. Ale reaguje. Najczęściej obojętnością, rzadziej — świadomym bojkotem. I to chyba największa kara, jaka może spotkać dziennikarza czy pisarza. Inne są niepotrzebne. Zwłaszcza gdy wymierza je organizacja powołana do obrony interesów zawodowych swoich członków, a więc i red. Samitowskiego. Bzdurna sprawa z głupimi implikacjami. Ale — jak mawiał dozorca starej przedwojennej kamienicy, w której mieszkalem, zanim mnie „zablokowano” — nawet pojedynczy człowiek może dziś flita dostać, a coś dopiero instytucja! To antybiurokratyczne i w pełni humanistyczne przesłanie musi zostać uzupełnione optymistycznym okrzykiem: nie dajmy się zwariować. Hasło: „Wszystko dla wszystkich” jest wprawdzie najbardziej demokratycznym i słusznym żądaniem, ale trudno je zastosować w praktyce, bo gdy już jeden otrzyma Wszystko, innym zostaje Nic.

Niestety, dzielenie jest czynnością linearną, tzn. dającą się uszeregować w czasie według pewnego następstwa czasowego. Ktoś dostaje wcześniej, inny później. Chyba że zaczęlibyśmy dzielić jednocześnie. Ale takie dzielenie nazywa się rzucaniem czy wyrzucaniem. Ostatniego łokcia sukna z płaszczka Rzeczypospolitej. I wówczas może się okazać, że to my jesteśmy nadzy.

STRYJEC

Rysunek ANDRZEJA PODULKI

## coś dla prostaków

Łomżyński snobizm, przejawiający się w wygórowanych aspiracjach w dziedzinie kultury, istniał chyba od zawsze, ale szczególne jego nasilenie nastąpiło wówczas, gdy Łomża została stolicą województwa. Wiadomo — rządowy program decentralizacji kultury, a na miejscu nowy silny bodziec: stolica województwa, która powinna spełniać również funkcję ośrodka kulturalnego. Stąd szalone pomysły: utworzenia w okolicy skansenu dla literatów, zgrupowania w prowincjonalnym mieście prężnego środowiska twórczego, organizowania wielu ambitnych imprez o zasięgu krajowym i w ogóle stworzenia w zasiedziałym i drobno-mieszkańskim światku atmosfery, jak to już ktoś ładnie określił, „światowego centrum kultury”.

Wspaniały pęd zaowocował także powstaniem Łomżyńskiej Orkiestry Kameralnej. Cóż za satysfakcja dla miejscowych snobów — własna, zawodowa orkiestra!

Nie obywa się jednak bez trudności. Nie pierwsza, ale istotna, polega na tym, że nie ma gdzie koncertować. Żadna sala w mieście nie spełnia akustycznych wymogów, stawianych salom koncertowym. W końcu zostaje adaptowana aula Państwowej Szkoły Muzycznej w Łomży. Akustyka wprawdzie fatalna, za to boazerie i lampiony stwarzają istic kameralny nastrój.

Czas na koncert. Zaproszenia („u-przejmie”) opiewają na 23 października, a program donosi, że dyrygować będzie Henryk Szwedo, jako solista wystąpi skrzypek z Poznania (choć Ormianin z pochodzenia), Igor Chaczbabian. Grana będzie Uwertura do opery „Fra Diavolo” Daniela Aubera, i Koncert skrzypcowy g-moll, op. 26 Maxa Brucha (wszystko bardzo ambitne) i — o zgrozo! — Symfonia Es-dur Mozarta. Zaskoczenie, bo symfonie są raczej przeznaczone dla orkiestr symfonicznych, a ta jest przecież kameralna.

Ale posłuchajmy koncertu. Choć nie! Może najpierw rozejrzyjmy się po sali. Publiczności niewiele. Stanowią ją w większości młode dziewczęta, prawdopodobnie uczennice szkoły muzycznej. Szacunkowo — słuchaczy jest 80.

Zaczyna się od prelekcji. Po oklaskach kolej na pierwszy popis Orkiestry, z rzadka zakłócany szumem silników przejeżdżających pod oknami samochodów. Tym razem okna są zamknięte, więc hałas nie dokuca tak bardzo, jak na niektórych poprzednich koncertach. Orkiestra gra.

Znowu wybiega prelegent. Krótko, zwięźle, encyklopedycznie zapowiada kolejny utwór. Koncert zaczyna kojarzyć mi się z kabaretem. Przywykłam do prelekcji jednej, przed koncertem, lub kilku — przed jego poszczególnymi częściami, gdy są oddzielone przerwą. Tu przerwy nie było.

Wchodzą solista i dyrygent. Rozpoczyna się kolejny utwór. Moje podejrzenia, że nie było wcześniej wspólnych prób, a jeżeli nawet, to niewystarczająco wiele, potwierdzają się. Chyba każdy z obecnych na sali zauważył, po kolejnym wejściu Orkiestry, moment całkowitej dezorientacji, zmieszania i załamania skrzypka.

Za trzecim razem prelegent zapowiada, że „teraz pozostawi słuchaczy w kręgu muzyki mozartowskiej”, wymienia parę nazwisk i rzuca lekko: — Dziękuję, Henryk Gała.

Doskonałe! Zabrzmiło jak: najlepsze z całego wieczoru macie już za sobą. Rozglądam się po sali, ale nie zauważam rozbawienia. Więc i ja zatapiam się w niesymfoniczne wykonanie Symfonii Mozarta.

Wreszcie koniec, kwiaty (zadbała o to jakaś pani z grona organizatorów), brawa, dyrygent po raz wtóry wychodzi, by pokłonić się publiczności.

Teraz można wrócić do domu, nastawić płytę i posłuchać dobrej muzyki, w dobrym wykonaniu, bo „Orkiestra przez cały czas grała tak, jak zwykłe”, co stwierdził, zapytany o wrażenia z koncertu, mój muzykalny znajomy.

TERESA GIELCZYŃSKA



REPORTER: Pan nam nie wygląda na mieszkańca tutejszej gminy. Minę na pan taką rozradowaną, oblicze szczęśliwe, pan nie jest stąd?

WCZASOWICZ: Nie. Jestem z Warszawy, pracuję jako hutnik w Hucie „Warszawa”. Jestem tu na wczasach z rodziną.

REPORTER: Zaczyna pan, czy kończy te wczasy?

WCZASOWICZ: Jestem w środku turnusu, mniej więcej. No, wszystko jest w porządku, wyżywienie bardzo dobre, organizacja — też. Dużo rozrywki. Mieliśmy duży zapas kartek, co rozwiązało nam całość spraw, od cukru po mięso i inne historie. No, w każdym bądź razie jest bardzo dobrze. Rzeka wspaniała, plaża, towarzystwo, tak, ludzie bardzo życzliwi: jeżeli się coś daje, to się coś dostaje. No, władze też... odpowiednie, udostępniają, umożliwiają... Tak że wypoczywamy znakomicie.

REPORTER: A gdzie są w tej chwili żona i dziecko?

WCZASOWICZ: Chyba po kolejkach gdzieś się pałają!

KOMENTATOR: Dwaj reportery radiowe, jak zwykle, ruszyli w teren, żeby zetknąć się z życiem bez żadnych manipulacji. Droga ich wiodła utartym szlakiem do władz naczelnych zaprzyjaźnionej gminy.

REPORTER: Panie naczelniku, pan dzisiaj, jak widzę, nie w urzędzie, tylko w ogródku; odpoczywa pan sobie po ciężkich trudach i znojach... Słyszeliśmy, że pan się strasznie przepracował ostatnio. Mamy dla pana ogromne słowa uznania, bo wszystko, co tutaj się stało, podobno przez pana?

NACZELNIK (strasliwie zachrypniętym głosem): Oczywiście, jestem w tej chwili na zwolnieniu lekarskim, dzisiaj dajcie mi spokój.

REPORTER: A co pan tak kieszko mówi?

NACZELNIK: No, przez te wszystkie narady, przekonywania ludzi na swoim terenie do szeregu spraw w naszym kraju. Ale w końcu ludzie zrozumieli... i w związku z tym człowiek i nerwowo to przeżył. Ale dzisiaj jakichkolwiek informacji we własnym zasięgu terytorialnym mojej gminy nie otrzymacie.

KOMENTATOR: No tak! To chyba znowu było to! Dwaj reportery radiowe trafili na trop kolejnej gospodarczej sensacji. Dzieńki ludzkim wysiłkom lokalnej władzy, w ciemny obraz gminnej rzeczywistości wmieszały się nowe, jaśniejsze barwy.

REPORTER: Sklep i pusto? Widzieliśmy tutaj duży sztyd: „Punkt wymiany pomocniczej”. Dotąd spytaliśmy się z „Punktem sprzedaży pomocniczej”. Co to jest takiego?

KIEROWNICZKA: Przychodzi klient i ma kartkę, przyjeżdża na wczasy, bierze z sobą kartkę, potem przychodzi do nas po wymianę. Jak chce pierwszy gatunek, to jest pierwszy gatunek; może nawet pobrać cielęcinę, ale do tego dopłaci.

REPORTER: Chwileczkę, o ile dobrze zrozumiałem, to klient może sobie pierwszy gatunek mięsa wymienić na świeżą cielęcinę...

KIEROWNICZKA: Tak. Do tego jest dopłata, trzysta czy dwieście złotych, zależy od gatunku mięsa.

REPORTER: Aha. A na co mógłbym wymienić boczek wędzony?

KIEROWNICZKA: Nawet można na węgorka zamienić u nas. Wędzonego węgorka. Ale trzeba dopłacić trzysta złotych do kilograma. Ale to jeszcze zależy od sztuki. Bo dopłata nie tylko od kilograma, ale i od gatunku.

REPORTER: A gdybym chciał kartkę na cukier wymienić?

KIEROWNICZKA: No to na śmietanę, ser, masło domowej roboty. Ludzie niektórzy są zadowoleni z tego.

REPORTER: Czy nie prościej byłoby sprzedawać te wszystkie produkty bez kartek?

KIEROWNICZKA: Nie można, bo jest tego mało. Można tylko zastosować wymianę, jak klient sobie życzy, i tylko na terenie naszej gminy.

REPORTER: Ale pani tych wędzonych węgorków nie wydaje, tylko odsyła na wieś, do producenta? A gdzie je można dostać?

KIEROWNICZKA: No, u rybaków, ale przeważnie u kłusowników. Oni zawsze mają! Ale wcześniej trzeba od nas wziąć kartkę.

(Melodia, brzęk szkła)

SKUPOWY: Co tak mało przyniosłeś dzisiaj?

ZBIERACZ: Wódka podrożała, nie, to mało pijo.

SKUPOWY: Postaraj się dobrać. Co jeszcze przyniosłeś?

ZBIERACZ: Makulaturę. Tu gazety som, tu ksionżki pare.

SKUPOWY: Też mało. Nie ma co ważyć. Masz dwie butelki po trzy i za makulaturę złotówka, razem siedem złotych.

ZBIERACZ: Da pan, panie Gawronski, jeszcze, ja jutro przyniosę.

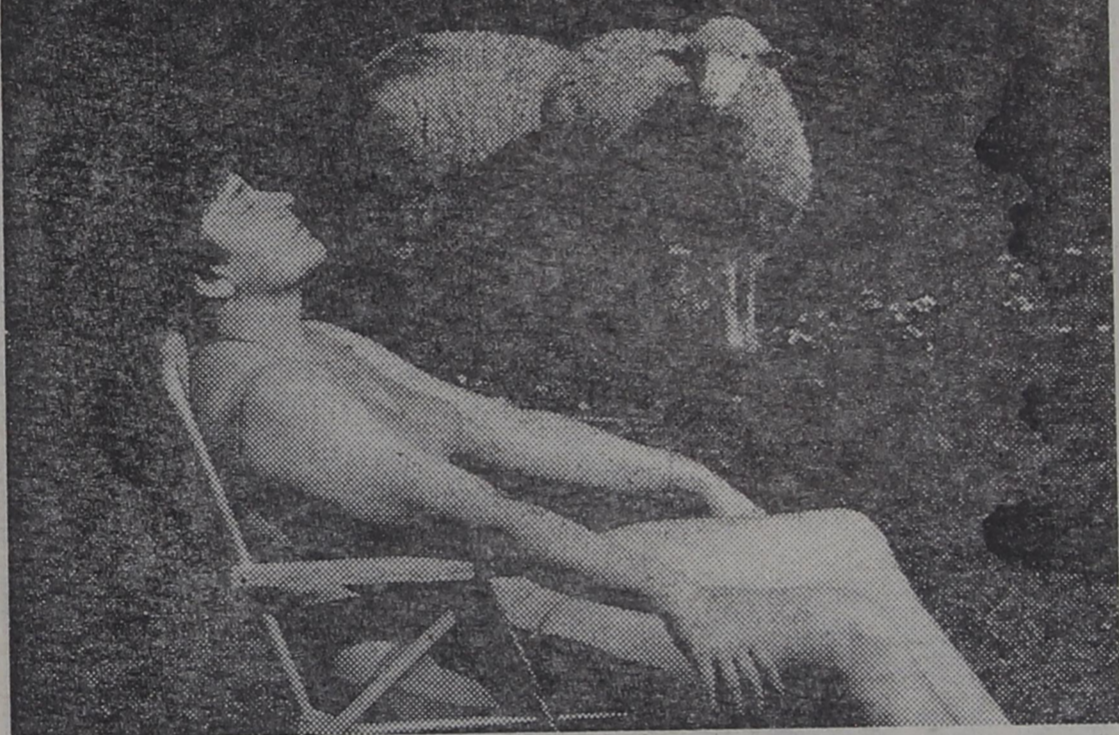
SKUPOWY: Przecież to instytucja państwowa, pieniędzy nie mogą tak wydawać!

# wczasy pod kartką

ZBIERACZ: Ale tam pijo na plaży, to ja przyniosę butelek. No, da choć na piwo, bo suszy w gardle.

SKUPOWY: A ile teraz piwo w gospodzie kosztuje?

ZBIERACZ: Dwanaście, no! Niech pan da szesnaście, bo i z butelko.



I da pan jeszcze z dyche na papierosy.

SKUPOWY: Nie zwracaj głowy, człowieku! Papierosów i tak nie ma. Uciekaj. Jak przyniesiesz butelki, to będziesz miał pieniądzel! A panowie co przynieśli?

REPORTER: Nic nie przynieśliśmy, przyszedliśmy tylko... z prośbą do pana — o wyjaśnienie. Na sztydzie pisze „Skup butelek, szmat, makulatury oraz kartek”. Żywnościowych?

SKUPOWY: Tak, to punkt skupu Gminnej Spółdzielni wszystkich odpadków użytkowych.

REPORTER: Kartki żywnościowe też są odpadkami użytkowymi?

SKUPOWY: Widocznie tak, skoro przynoszą.

REPORTER: Ile pan płaci za jedną kartkę?

SKUPOWY: W zależności od wartości bonów na danej kartce. Na przykład: Za pełną kartkę na cukier — sto złotych!

REPORTER: Ale dlaczego skupuje się te kartki?

SKUPOWY: Dlatego, że później ja to wszystko specjalnie segreguję, przekazuję to do Gminnej Spółdzielni, a tam już rozprowadzają dla turystów zagranicznych i krajowych, którzy swoje kartki wykorzystali w miejscu zamieszkania. Przede wszystkim dają dla turystów zagranicznych, bo chodzi o to, że płacą dewizami, a nam chodzi o rezerwe dewiz na koncie Gminnej Spółdzielni.

REPORTER: Czy współpracujecie z „Peweksem” z PKO?

SKUPOWY: Nie, to nie ma nic wspólnego. Taki pomysł zrodził się w Gminnej Spółdzielni. Bo przecież te kartki można było włączyć do makulatury, a to nie dawałoby żadnego efektu. A tak pomyśleliśmy: po co to ma przepadać, skoro ludzie chcą kupić.

(Gwar małych dzieci)

REPORTER: Słyszeliśmy, że pani jest tu pielęgniarką środowiskową. Co to za grupa młodzieży?

PIEŁĘGNIARKA: To jest młodzież, która zostanie przeszkolona na wypadek nieszczęśliwego wypadku w czasie robienia zakupów, w kolejce, proszę pana, gdy zostanie dziecko przyduszone względnie zaślabnie, ktoś z dorosłych również. One muszą wiedzieć, jak zachować się w takim przypadku.

REPORTER: Co obejmuje program takiego kursu i jak długo on trwa?

PIEŁĘGNIARKA: Dwa dni, proszę pana. To jest kurs dwustopniowy. Pierwszy etap szkolenia przewiduje, że jeżeli dziecko w kolejce zaślabnie, zostanie przyduszone czy skaleczone, to musi reagować w ten sposób, żeby go widzieli: krzyknąć, mówić głośno, że ono tu jest. A drugi jest taki: jeżeli dziecko widzi starszą osobę, która zaślabła, to również reaguje w ten sposób, żeby zawiadomić czy lekarza, czy pogotowie. Wie pan, żeby nie było znieczulicy. To są dzieciaczki, do dziesięciu lat. A mamy jeszcze starszą młodzież. Ją tak szkolimy, żeby udzielala pierwszej pomocy, na skaleczenie, jakieś złamanie względnie zemdlenie.

REPORTER: To wszystko w kolejce?!



PIEŁĘGNIARKA: Tak jest! Oni będą stanowili taką służbę porządkową na naszym terenie.

(Muzyka, pukanie do drzwi)

REPORTER: Dzień dobry! To wzorcowania, tak? Czy szefa zastaliśmy?

SZEF: To właśnie ja jestem.

REPORTER: W kiosku przyspółdzielnianym widzieliśmy interesującą zabawkę. Niestety, nie mogliśmy jej kupić, bo ona jest dosyć droga. Kosztuje 185 złotych. To wyście ją ustalali?

SZEF: Nie, proszę pana. Cena została ustalona przez Państwową Komisję Cen.

REPORTER: Dużo słyszeliśmy o tej zabawce. Czyjej jest konstrukcji?

SZEF: To moja konstrukcja. Moja własna... nad którą pracowałem ostatnio ze trzy miesiące.

REPORTER: Czy moglibyśmy oglądnąć tę zabawkę? Nazywa się „Mały kartkarz”? A tu instrukcja obsługi. Może pan przeczytać?

SZEF (czyta): „Zabawka przeznaczona jest dla dzieci i młodzieży w wieku od lat czterech do szesnastu. Składa się z kompletu porubrykowanych kart zaopatrzeniowych w ilości 60 sztuk — o to właśnie te. — Ponadto stempli z nadrukami asortymentowymi sztuk 16. pieczętek różnych zakładów pracy — sztuk 5. nożyczek plastikowych giętych — sztuk 1, kasety drewnianej z ośmioma boksami do składowania wyciętych kartek i poduszki stemplowej wraz z pojemnikiem

szklanym z tuszem fioletowym a 50 gram”.

REPORTER: No, tak. Wszystko się zgadza!

SZEF: Dalej: „Obsługa, punkt 1 — w zabawie biorą udział co najmniej dwie osoby, dawca i biorca. Przed przystąpieniem do zabawy należy zastanowić się, jaki asortyment będzie przedmiotem działań komercyjno-handlowych. Punkt 3 — po dokonaniu wyboru dawca wyjmując z pojemnika czystą porubrykowaną kartę — o, tą właśnie, zaopatrzeniową — i zapytuje biorcę, czy się zgadza na wybrany asortyment. Punkt 4 — po uzyskaniu zgody biorcy, dawca stempluje wybrany asortyment odpowiednimi stemplami i podaje biorcy. Punkt 5 — biorca mówi „dziękuję” i wycina odpowiednią ilość kuponów i wkłada do jednego z ośmiu boksów pojemnika”. Jeszcze uwaga jest: „Uwaga! W zabawie nie powinno brać udział więcej niż sześć osób, żeby nie tworzyć zbędnych kolejek”. Aha, jeszcze na początku: „Producent udziela gwarancji na dwanaście miesięcy pod warunkiem użytkowania zabawki zgodnie z instrukcją”. I jeszcze tutaj: „Zabawka ma na celu doskonalenie umiejętności intelektualno-manualnych dzieci i młodzieży, jak również przystosowanie ich do warunków socjalno-bytowych”.

REPORTER: Jest to ciekawa zabawa. Tylko nie wiemy, jak wychodzi na tym spółdzielnia.

SZEF: Ja nie jestem ekonomistą i nie znam wyników finansowych sprzedaży tych zabawek, ale po prostu myśmę wyszli naprzeciw zapotrzebowaniu władz gminy, która prowadzi akcję „Wczasy pod kartką”.

KOMENTATOR: Zmierzał! Dwaj reportery radiowe, szczeniści choć zmęczeni, trafili wreszcie do sztabu gminno-kartkowej operacji.

MAGISTER: Sekundkę, panowie. Mamy tutaj jeszcze taką grupę z Katowic, i zaraz porozmawiamy.

REPORTER: Panie magistrze, od czego się to wszystko zaczęło?

MAGISTER: Zaczęło się od Ustki. Panowie na pewno słyszeli postanowienie naczelnika w sprawie turystów, że nie zabezpiecza im jedzenia, a z kartek mogą korzystać tylko mieszkańcy Ustki. My postanowiliśmy zrobić na tym interes. Przyjmujemy z otwartymi ramionami wszystkich tych, którzy posiadają kartki. Obojętnie jakie: na cukier, na przetwory mięsne, ryż, papierosy. Jak ma kartkę, to już może u nas wypoczywać. No i mamy katalog cały: Katowice, Szczecin, a nawet ludzi z Ustki. Dalej: z Kołobrzegu, z Wisieki, z Międzywoźnia, z Międzyzdroi. Telefony urywają się po prostu.

REPORTER: Widzę tu jakieś projekty kartek, nowe kolory...

MAGISTER: To my opracowaliśmy wzory! Naszym kolektywem! No więc tak: OP1 to opalanie plażowe. A tu są podkartki OP2, OP3, OP4... OP1 to jest w godzinach syczytu słonecznego, czyli od godziny jedenastej do czternastej.

REPORTER: Zaraz, co znaczy 0.25?

MAGISTER: To jest 0,25 godziny, czyli 15 minut opalania. Plaża jest stosunkowo nieduża, więc żeby zlikwidować bałagan, wprowadziliśmy kartki. Chodzi tam porządkowy z opaską i on te kartki wycina od razu.

REPORTER: RW, co to za kartka?

MAGISTER: Rybaczenie i wędkowanie.

REPORTER: KW?

MAGISTER: To kajaki i wiosła.

REPORTER: Tutaj mamy LTP?

MAGISTER: LTP — łóżka tapczany, prycze.

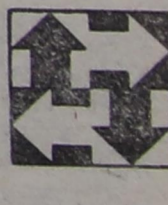
REPORTER: Jeszcze macie podkartki na S?

MAGISTER: Sienniki i słoma na przydział.

KOMENTATOR: I to już koniec dramatu urlopowo-zapotrzebiowego. Do usłyszenia! Autorzy som już na tropie nowej sensacji.

ANDRZEJ BARTOSZ  
WIESŁAW JANICKI  
Fot. GABOR IORINCY

obcyzaje



„Wszystko za wszystko”, czyli otwarte spotkanie — wywiad z komendantem Chorągwi ZHP w Łomży, Zbigniewem Zukowskim odbyło się 24 października w Łomży. Jego plon publikujemy w formie zapisu obszernych fragmentów rozmowy harcerzy i sympatyków ZHP z drużym Zukowskim.

— Z czym kojarzy się druhowi „harcerstwo”?

— Z prawdą, mundurem i wewnętrznym samodoskonaleniem.

— Jednym z kierunków działania było pozyskanie dzieci i młodzieży dla ruchu. Jaki jest statystyczny obraz tej pracy?

— Chorągiew łomżyńska powstała w 1975 roku wraz z nowym podziałem administracyjnym. Adekwatnie do nowej struktury ukonstytuowało się w 40 hufców. W pierwszym roku liczyła 35 tysięcy, rok temu — 43 tysięcy harcerzy.

— Co druh myśli o tej ilości?

— Odpowiedź jest na tej sali. Mimo 600 indywidualnych zaproszeń, licznych plakatów o imprezie w szkołach i na ulicach miasta, ogłoszeń prasowych przyszło... 20 osób. VII Zjazd ZHP, który odbył się w marcu tego roku ustalił, że nie może już powstać żadna drużyna, nie mająca autentycznego drużynowego. Co zatem robić z harcerzami nieautentycznymi? Odpowiedź jest jedna: decyzja należy do każdej drużyny z osobna i do każdego harcerza indywidualnie. Patrząc zaś w przyszłość, sprawa kadry będzie dla nas podstawową. Chcąc przygotować warunki dla jej autentyzmu, Chorągiew łomżyńska z dniem 1 listopada otwiera swą szkołę instruktorów w Danówku koło Grajewa. Skupi się ona przede wszystkim na kształceniu tzw. małej kadry: zastępowych i przybocznych, których po pierwsze brakuje, po drugie — trzeba otoczyć taką opieką, na jaką zasługują. Są przecież podstawową kadrą ruchu.

— Padły tu słowa o VII Zjeździe ZHP. Jakie ma on znaczenie dla harcerzy?

— Był to jeden z nielicznych, a jedyny w ostatnim czasie Zjazd naszej organizacji w pełni autentyczny, gdzie bez skrepowania mówiono to, co chciano powiedzieć. Mogę to stwierdzić tym pewniej, że byłem delegatem Chorągwi na o-wym forum. Wszystkich uczestników charakteryzowała troska o przyszłość ZHP, chociaż przejawiało się to w różnych formach i przy użyciu różnych metod. Nie obyło się też bez impasu, ale ogólnie zwyciężył rozsądek. Na pewno rzutowała na to ówczesna sytuacja polityczna w kraju, ale na specyfikę Zjazdu miało też ogromny wpływ, to co się działo w ruchu w czasie minionego dziesięciolecia. Zjazd przyjął też czteroletni program umacniania drużyn i zastępów w ich niezafalszowanej postaci. Uznał również, że w ciągu czterech najbliższych lat sześć kwestii będzie dla ruchu najważniejszymi: autentyzm kadry, rzecznictwo w sprawach dzieci i młodzieży, umacnianie zastępów i drużyn, praca z kadrą, centralne instruktorskie szkolnictwo harcerskie.

— Na VII Zjeździe wiele dyskutowano o treści prawa harcerskiego. Dziesiąty punkt kodeksu mówi, że harcerz chce być silny, sprawny, nie pali tytoniu, nie pije alkoholu i walczy z nągami. Jak było z paleniem na Zjeździe?

— Dla mnie sytuacja była bulwersująca. Nie tyle, że palono, ale dlatego, że palący byli w mundurach harcerskich, że ceremonia palenia odbywał się w... toaletach. Tu dotykamy raz jeszcze podstawowej sprawy: autentyzmu instruktorów, którzy nie tylko mają uczyć prawa i przyrzeczenia harcerskiego, ale również ich przestrzegać. Rzeczywistość zaś jest różna. Jest wielu stosujących się w pełni do tych zasad, ale jest też spora grupa, prawdziwa w każdym calu, poza jednym wyjątkiem — dziesiątym punktem prawa. Co w tej sytuacji? Najprościej byłoby wykluczyć tych ludzi z organizacji; to jednak równałoby się przerwaniu pracy wielu drużyn, których członkowie chcą być harcerzami. Moim zdaniem, dla potrzeb dzisiejszej osłabionej pozycji Związku trzeba owa grupę kadry zatrzymać w ZHP dać im jeszcze szansę. Zarazem absolutnie nie pozwolić, żeby druh palił, lub pił w mundurze. Przechodząc do faktów: jest w łonie Związku bardzo silny trend do przestrzegania pełni autentyzmu.

Tendencje te charakteryzują przede wszystkim tzw. Kregi im. Andrzeja Małkowskiego.

— Zaczynają one przechodzić już do legendy. Jaki jest cel tego ruchu?

— Nie są legendą, są po prostu autentyczni. Trudno mi mówić o ich celach, ponieważ nie jestem przedstawicielem tej grupy. To zaś, co widać w postaci ich zewnętrznej działalności, być może nie jest ich celem ostatecznym. A widać przede wszystkim przestrzeganie dziesięciu punktów prawa... i chyba wszystkich innych, chociaż może nie do końca. Ruch skupia bardzo wielu ludzi; Kregi im. Małkowskiego działają w 36 Chorągwiach, przede wszystkim w wielkich miastach. Nie ma ich w północno-wschodniej Polsce?

— To dobrze, czy źle?

— Gdy referowałem Naczelnikowi ZHP sprawę ruchów programowych w Łomżyńskiej Chorągwi, na pytanie, czy są Kregi im. Małkowskiego, odpowiedziałem: Niestety, nie ma.

— Ruchy w łonie ZHP powstają na zasadzie różnic w celach ideologicznych. Podobno ostatnio Rada Naczelna ZHP zajmowała się pod tym kątem Kregami im. Małkowskiego, które chciały przywrócić zasadę, że harcerz składa przyrzeczenie Bogu i Polsce.

— Nieprawda. Było natomiast tak, że bodaj na IV posiedzeniu w tej kadencji, Rada Naczelna — w której są przedstawiciele Kregów im. Małkowskiego — oceniła obecną sytuację w Związku, w wystąpieniu Naczelnika ZHP, reprezentującym stanowisko Prezydium Związku, znalazła się bardzo ostra ocena poczynań ruchu spod znaku Andrzeja

wewnątrz organizacji. Obok wymienionej najsilniej działa „Ruch i Przyszłość”, grupa powstała blisko Kwatery Głównej ZHP. Interesują ją, zgodnie z nazwą, perspektywy harcerstwa, a punktem wyjścia starań o lepsze jutro jest ich żywa pamięć o niedawnej przeszłości, gdy spychano nas na nowy koniec szeregu animatorów życia młodzieży. Priorytet dano ZSMP w ramach federacji organizacji młodzieżowych, a nam zlikwidowano czasopismo „Horyzonty” i przyłączono do Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. W efekcie zapomnieliśmy, że ZHP liczy nie 35 lat, ale 70. I trzeba było dopiero takich grup jak Kregi im. Małkowskiego, żeby pamięć o tym przywrócić. Za to musimy im być wdzięczni.

— Jak się ma do tych zmian w ZHP sytuacja w łomżyńskiej Chorągwi?

— Najlepiej odpowiedziałby na to pytanie nasi szeregowi harcerze. Ogólnie, sytuacji nie da się ocenić jednostronnie. Jest i łatwiejsza i trudniejsza — chociażby z racji zmian w oświacie. Pięciodniowy tydzień pracy nauczycieli, spośród których 99 procent stanowi kadre instruktorską jest dla nas na niekorzyść. Z braku nauczycieli ci, którzy uczą np. na wsiach mają średnio 35 godzin lekcyjnych tygodniowo, zatem dziennie — 7 lekcji. Uczniowie także. Dochodzi sprawa dowożenia do szkoły. W tej sytuacji trudno mówić o pracy harcerskiej na wsi. Zostają wolne soboty, w które nie zawsze można korzystać z pomieszczeń szkolnych. Co więc robić na wsi? Za wszelką cenę doprowadzić do autentyczności ruchu, stawiając w pierwszej mierze na zastępy Nieobozowej Akcji

są bezimiennie. Dlaczego starania o nazwę trwały tak długo?

— Gdy przejmowałem komendanturę w 1977 roku, starania już trwały. Jesienią tegoż roku w plebiscycie na nazwę, kadra, harcerze i zuchy opowiedzieli się za „Samodzielną Grupą Operacyjną „Narew””. Wiosną 78 roku zwróciliśmy się do Kwatery Głównej ZHP, by imię zatwierdziła. Powiem krótko: wtedy, było to po prostu niemożliwe. Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego stwierdził, że jest to imię... nie nadające się. Sami decyzji podjąć nie mogliśmy. Szukaliśmy więc innego imienia przez dwa lata. I nie znaleźliśmy. A dzisiaj wiem, że dobrze było z tym poczekać.

— Czym jest bohater dla Chorągwi?

— Wiele szczepli, drużyn i kilka hufców ma imiona bohaterów jednostek wchodzących w skład Grupy „Narew”. Analogicznie zatem, do nadrzędności tego pojęcia, przypadłoby ono w udziale nadrzędnej jednostce organizacyjnej harcerstwa.

— Zapanowała upragniona samodzielność drużyn i oto spotykamy się z sytuacją, że nie wiedzą one, co robić. Skąd ten problem?

— Gdy jest przecięcie w jedną stronę i od razu — bez łagodnego przejścia — w drugą, są takie skutki. VII Zjazd — woła delegatów przyjął uchwałę, że drużyny powinny same decydować o celach i metodach swej pracy. Jedyną dyrektywą programową jest Alert naczelnika ZHP, a dla naszej Chorągwi dodatkowo — Kampania „Bohater”, na co zgodziła się Rada Chorągwi. Praktycznie jest zaś tak, że drużyny nie są przygotowane do samodzielności. Przyczyny: za słaba

## na posierpniowej barykadzie



Małkowskiego. Dotyczyła przede wszystkim podważania przez nich prawa harcerskiego. VII Zjazd ZHP przyjął jedno prawo i jedno przyrzeczenie, w takim kształcie, w jakim zostało demokratycznie zaakceptowane przez większość delegatów. Podkreślam, nie jednogłośnie, ale przez większość. Tymczasem niektóre Kregi im. Małkowskiego do tej pory deklarują obstawanie przy swoich wnioskach, co do treści prawa. Nie chodzi tu jednak o przywrócenie przyrzeczenia Bogu, gdyż Kregi te zdają sobie sprawę, że zamknęłyby uczestnictwo w ruchu dla wielu ludzi o ateistycznym światopoglądzie. Idzie natomiast o wyrzucenie słowa „socjalizm” i to jest po prostu smutne, bo u nas socjalizm utożsamia się z sytuacją w kraju, a nie z ideologią socjalizmu. Na wspomnianym tu posiedzeniu początkowo Rada Naczelna stawiała wniosek o wykluczeniu Kregów im. Małkowskiego z ZHP. Jeżeli nie będą przestrzegać całego prawa harcerskiego, jednak zdecydowana większość członków Rady była za dalszymi rozmowami, by nie rozbić już i tak rozbitej organizacji.

— Chodzi o rozbić czy o różnorodność?

— Sytuacja ZHP jest odbiciem ogólnej sytuacji w kraju. Byłoby nawet dziwne, gdyby rzecz miała się inaczej. W tym kontekście trzeba widzieć powstawanie jeszcze przed VII Zjazdem ruchów programowych

Letniej. Otwarty zostaje problem, jak przenieść te poczynania na aktywność śródroczną. Wydaje mi się, że trzeba zacząć od zastępów i drużyn środowiskowych, z zachowaniem pracy ogniw szkolnych, jeśli dana szkoła faktycznie stwarza warunki do działania. W mieście sytuacja jest analogiczna. Drugie zadanie, o czym mówiliśmy, to przygotowanie kadry. Dodam tylko, że będziemy aktywizować drużynowych, będących poza Związkiem. Szkoła w Danówku powinna problem w dużym stopniu rozwiązać, chociaż mimo jej pracy nonstop trzeba będzie i tak kształceniem kadry częściej obciążać większe miasta w województwie. Włączyliśmy się w obchody 70-lecia ZHP. Ich uświetnieniem będzie dla nas nadanie imienia Chorągwi i wręczenie jej sztandaru w przyszłym roku. Obecnie jesteśmy na etapie zdobywania prawa do noszenia imienia, czemu służy tzw. Kampania „Bohater”. Będzie to imię Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”. Mam pewne zastrzeżenia do tego miana, które zrodziły się niedawno. Byłbym za tym, żeby imię odnosiło się do ludzi, a nie do jednostki organizacyjnej. Chociaż Rada Chorągwi zatwierdziła taką propozycję nazwy, trzeba będzie przedyskutować, czy nie powinna to być Chorągiew imienia Bohaterów Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”.

— Jesteśmy w tej chwili jedną z trzech Chorągwi w kraju, które

kadra, za małe wsparcie metodyczne.

W ciągu roku nie pokonamy tych przeszkód. Opieranie się na kadrze rekrutowanej spośród nauczycieli nie sprawdzi się przy obecnym systemie ich kształcenia. Nie wychowani na pedagogów. A iluż jest w ogóle bez kwalifikacji?

— Kampania „Bohater” jest lokalnym uczczeniem 70-lecia ZHP. Czy to znaczy, że łomżyńskie harcerstwo ma tyle lat?

— Nie odpowiem na to pytanie. W ramach obchodów wspomnianej rocznicy podejmiemy się dopiero ustalenia daty narodzin ruchu w łomżyńskim. Wiemy na pewno, że harcerze działali tu już w 1915 roku, ale być może i wcześniej.

— Jak czuje się ktoś, kto nie wie, ile ma lat?

— My wiemy. Siedemdziesiąt. A Chorągiew liczy ich sześć.

— W Łomży istniał Dom Harcerza. Dlaczego nie ma teraz?

— Nie potrafię odpowiedzieć. Tym problemem powinna zająć się Rada Hufca na najbliższym posiedzeniu.

— Zadaniem ZHP jest rzecznictwo w sprawach dzieci i młodzieży. Co zrobino w województwie w tej mierze?

— Niewiele. Poruszyliśmy te sprawy wszędzie, gdzie tylko można. Bez skutku. Co w najbliższej przyszłości? Chyba dojdzie do budowy Domu Harcerza na Osiedlu „Południe” w Łomży. Położymy też nacisk, by drużyny szkolne dbały w szkołach o kulturalne sprawy młodzieży.

— Co robi w województwie Ruch Przyjaciół Harcerstwa?

— Aktualnie nie działa. Gdy w kraju zaczęły się posierpniowe zmiany samorzutnie zaprzestali działalności. Trzeba go od początku reaktywować.

— Jakie jest najskrytsze marzenie Komendy?

— Byśmy wszyscy byli autentycznymi harcerzami.

— Co jeszcze — szczególnie ważne — chciałby druh Komendant powiedzieć tu zebranym?

— W obecnej, tragicznej, sytuacji kraju słyszy się głosy, że ludzie muszą jednoznacznie określić się, po której stronie barykady. Takie nawoływanie nie doprowadzi do niczego dobrego. Myślę, że my harcerze zamiast stawać po obu stronach barykady powinniśmy sięgnąć na niej okrzakiem. I dążyć do jej zniszczenia.

Notował: JULIUSZ ŚWIĘDO  
Fot. GABOR LÖRINCZY



Mam dwie córki. Życie moje toczy się naprzód. Wychowuję nowe społeczeństwo ideologicznie oraz sam kształcę się w tym kierunku. Oboje jesteśmy młodzi, lgniemy do siebie, jak przyszywane muchy do lepu. Kochamy się. A pod względem seksualnym jestem głupi jak but. Z żoną pod tym względem jest podobnie. Ale też nie chcemy mieć co roku proroka. Zwróciłem się do lekarza. Ten tylko uśmiechnął się, pokiwał głową i nic nie powiedział. Namówiłem żonę, by zapytała, co i jak. Też nic nie wskórała. Książek na ten temat nie można było kupić. Jeżeli ktoś miał, to chował jak najdalej, by nikt się nie dowiedział, bo siedziało się za samo posiadanie takiej książki. Zaliczona była do pornografii.

Dochodzi u nas na tym tle do konfliktu. Żona pragnie mnie, a ja żony, ale boimy się zbliżenia. Z tego wszystkiego pokłóciliśmy się. Ona mówi: — Ty tylko myślisz, jak sobie dobrze zrobić, a nie myślisz o tym, że ja zjadę w ciążę. — Ja to samo jej zarzucam. Przez pewien czas spaliśmy osobno. Rano wstawałem naburmuszony, żona również.

Poszedłem do teścia, by, jak chłop chłopu, powiedział, co i jak. Teść na mnie popatrzył: — Tak z niczym nie przychodzisz na naukę!

Wypiliśmy po jednym głębszym (całe pół litra wody) i dowiedziałem się, że najlepszym lekarstwem na mój ból jest znalezienie sobie kochanki. Teściowa, jak to usłyszała, zaraz wyrpalała mu w oczy przy mnie: — Jak przed wojną: praca zawodowa, potem dobrobyt. Zawiodła musi mieć służącą, więc jest służąca. Zawiodła musi mieć kochankę, bo oszczędza żonę. Z kochanką dziecko i zapłała jednorazowa, 4 tysiące złotych. Taki miałam przy tobie dobrobyt! Potem bezrobocie, boś zadał się nie wiadomo z kim. Dzisiaj mówisz, że z komunistami, bo ustrój ci odpowiada. A w rzeczywistości wylali cię z pracy. Nacierałam się biedą i tyle. Rodziłam co rok. Potem grzebałam te maleństwa. Czworu mi zostało przy życiu — rozplakała się na całego. — Teraz mego zięcia namawiasz. Lepiej zaradz Edkowi, jak ma postępować. Ty, wielki uczonej i urzędnik, a na dupie nawet nie znasz się. Chłop ma rację, że prosi w tych sprawach pomocy. To nie sztuka rodzić dzieci i nie dać im i żonie dobrego utrzymania!

Teść na to, że szkoły stoją dla dzieci otworem, złościł, przedszkola na oko. Tylko rodzic, a państwo się zaopiekuje.

— Skąd państwo weźmie, jak nie samo nie ma? Może państwo pomóc pojedynczym osobom. Gdy cała Polska zacznie tak rodzić, jak ty proponujesz, to skąd miejsca weźmie.

Pachniało to groźnym kosmopolityzmem. Nie mogłem wdawać się w dyskusję na ten temat. Ściany mają uszy. Wyszedłem z domu teściów. Nic dalej nie rozumiałem i nie dowiedziałem się. Wyjeżdżałem więc częściej w teren. Chociaż mnie strasznie ciągnęło do domu, zostawałem na miejscu i nocowałem po chałupach we wsi. Przyjeżdżałem do domu bardzo spragniony żony. Odmawiałem sobie jak ten Jan Bosko. Tak praktykowałem, błądząc w tych sprawach intymnych. Potem dowiedziałem się wszystkiego od jednej akuszerki.

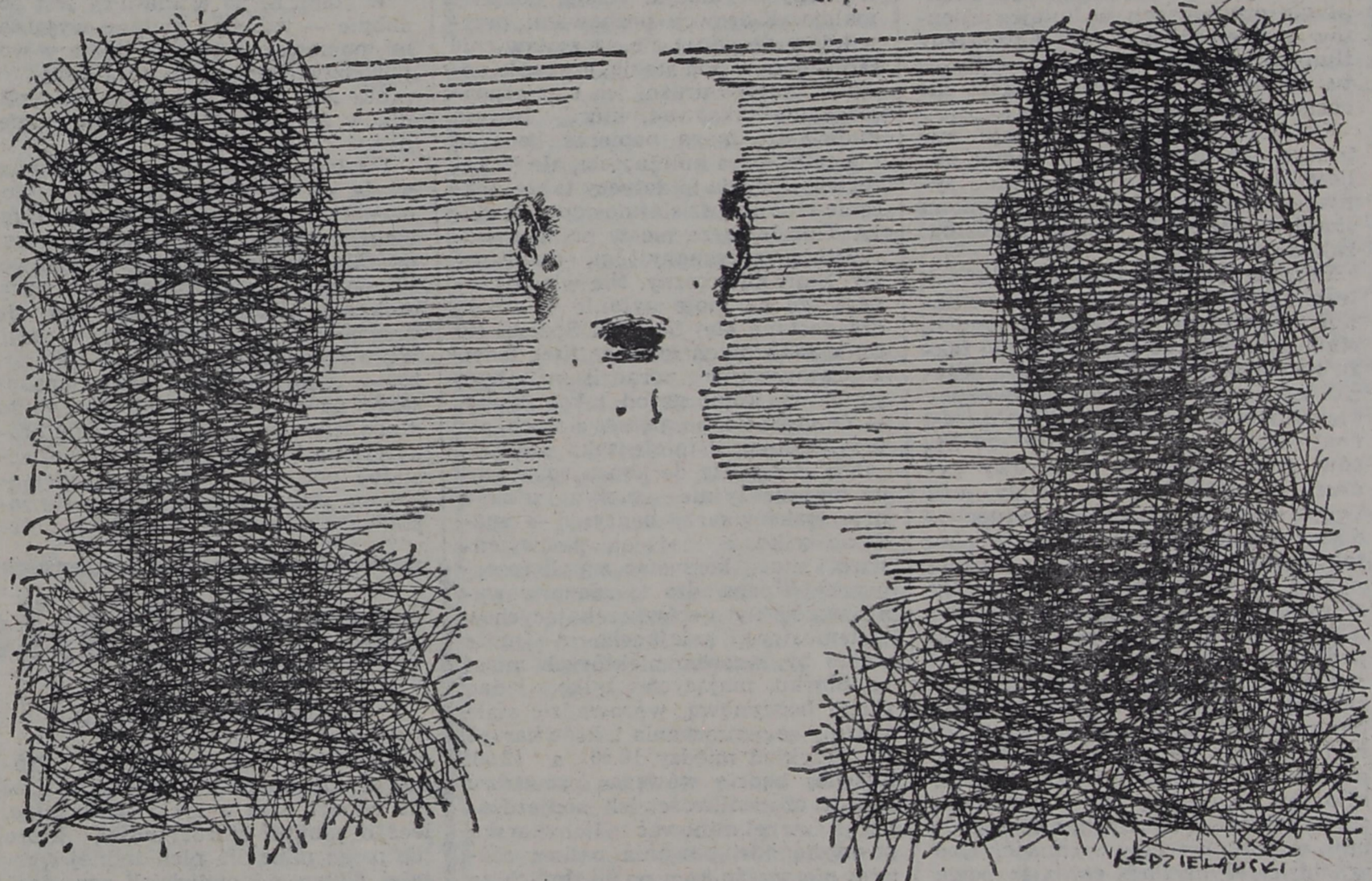
Rodzina nadal często-gęsto przegadywała nam, że wychowuję ideologicznie naród, a ludzi nikt nie przekona takim gadaniem, bo tu czynów trzeba. Czyni były. Trzeba wiedzieć, w jakim mieście żyliśmy. Front je bardzo wystrzeplił. Odgruzowywanie i puste place po budynkach budziły niepokój ludzi. Teraz nas nie było stać na ich zabudowanie. Chcieliśmy wygrać z czasem, i to koniecznie. Zrobiono czynnem społecznym stadion. Potem naprawiono przystań na jeziorze. Zrobiono muszlę koncertową. Zagospodarowano zwałowiska gruzów. Posadzono klony, lipy, akacje. Bardzo dużo sami mieszkańcy robili, by upiększyć miasto w ramach swych możliwości. My, młodzi, zawsze na pierwszej linii byliśmy. Pomagali nam starzy partyjni aktywiści.

Dni te zaliczylibym do najbardziej dramatycznych i ważnych dla Polski: organizowanie podpisów pod Sztokholmskim Apelem Pokoju, potem (czy przedtem?) wymiana pieniędzy, wreszcie — wykrycie siatki szpiegowskiej Robinau (francuskiej).

W tej ostatniej sprawie więcej chyba było bluffu niż prawdy. Był to odwet za ekspulsowanie Polaków z Francji za działalność polityczną i strajkową. Ale o tym dowiedziałem się potem.

Wszędzie czyhali na nas wrogowie. Mnie to bardzo dziwiło, że chłopci stawali z widłami na drodze, by mnie nie dopuścić do zorganizowania zebrania, żebym nie mógł przekazać prawdy o ZSRR i jego pomocy dla nas. Przy takich zbiorowych wystąpieniach chłopów i ludzi miejscowych musiałem stosować różne tricki. Znałem dolę chłopów i ich ciężką pracę. Umiałem ich uspokoić. Dobrze, że takich wystąpień nie zgłaszałem do UB, gdyż były to incydenty spowodowane czyjąś obietnicą. Nim przekonałem chłopów,

## misjonarz w czerwonym krawacie



najadłem się wcześniej dużo strachu, wiele słów wulgarnych wysłuchałem. Nawet pokazywano mi drzewo, na którym zawisnę!

Takie były to ciężkie czasy. Wielokrotnie chciałem od tej roboty uciec. Wolałem pracę przy traktorach i silnikach w PGR-ze niż stałe zgryzoty. Towarzysze z KP mawiali: — Musicie pracować! Innego nie widzimy, tylko was. Odwagi, więcej zaangażowania.

Powracałem jak skruszony zdrajca. Pracowałem dalej. Uważałem się za zdrajcę, bo gloszę coś innego, a co innego myślę. Walczyłem ciągle z sobą. Przekonywałem się, że to, co robie, jest słuszne i potrzebne. Nie miałem nawet prawa na sarkanie. Musiałem być wzorem w domu i w otoczeniu.

Raz przydarzyła mi się taka nieprzyjemna przygoda. Miałem dobrego kolegę z Wileńszczyzny. Przyjaźniliśmy się. Zaprosił mnie na chrzciny, gdzie stawiała się jego rodzina i koledzy. Tam, przy alkoholu, rozgorzała rozmowa o polityce. Kolega uprzedził, by nie gadano tak głośno, bo ja polityczny pracownik. Kilku gości to rozżołosciło. Złapali mnie za kołnier, wyciągnęli zza stołu i wyrzucili z gościny. Mnie to bardzo rozwścieczyło, bo wypiełem zaledwie parę kieliszków, a przecież przyniosłem litr wody i zagrychę, do tego upominki dla dziecka i jego matki. Wyrzucili mnie jak śmieć, jak zaraz. Rozpędziłem się i głową wy-

sadziłem drzwi. Wpadłem pokrwawiony. Zabrałem się do samosądu. Nawtykałem wszystkim, że popamiętali. Pojedynczo wyzywałem wszystkich do walki. — Zbiorowo mnie chcieliście ukarać. To ja was jak szczury z nor, powyciągam! — I w mordę go. Tak się rozsierdziłem za swój ból i krzywdę, za opluwanie mej pracy, za dobro, z którego oni korzystają, za wszystko, że biłem ludzi w mieszkaniu. Memu koledze dwa przednie zęby wybiłem. Inni widząc, że dostałem furii, zwiali.

Przybiegli milicjanci. Parę kopniaków mnie ocuciło. Znalazłem się w areszcie, gdzie przespałem noc. Rano kierownik komisariatu powiedział: — Ech, to wyście taki polityczny pracownik? Tak rozrabiasz! Gospodarzowi, który was zaprosił, zęby wybijać! I było o co?

— Było — odparłem.

— A czy wy pamiętacie, o co poszło?

— Pamiętam.

Chciał pisać protokół, ale prosiłem, żeby tego nie robił, bo to wszystko rodzina. My się przeprosimy i będzie zgoda. Nie powiedziałem, o co tam głównie poszło, bo gdyby UB w tym czasie dostało taki meldunek, byłbym przykładem na całe województwo, a może i kraj, że wrogowie PRL-u wciągają aktywistów w różne rodzinne uroczystości, potem spijają i biją. Komendant, fajny chłop, znał mnie, bo byłem w ORMO, i dał temu wszystkiemu spokój.

Wybiegałem daleko naprzód myślami, planując co pozostało do zrobienia. A dni miały piękne niezapomniane młode lata, lata służby społecznej.

Kiedyś przyjechałem z terenu mocno zmęczony. Spać mi się chciało, ślaniałem się na nogach. Przybiegli milicjanci — napad rabunkowy na bank. Biorę broń i pędzę po drodze do kolegi. Pepeesze na ramieniach gotowe do strzału. Pędzimy. Noc ciemna choć oko wykol. Tylko słysząc strzały. Nim dobiegłem, banda rozproszyła się między domami i komórkami, ostrzeliwując się. Jak strzelać tam, gdzie ludzie mieszkają? Szkła sypią się z budynków. Jedno kaleczy mi lewą rękę. Czuję szczypiący ból i tryskanie krwi. Ciemno. Owijam chustką i gonię dalej. Nic nie zrobiliśmy. Znali teren bardzo dobrze. Byli do takich akcji przygotowani. My, ORMO — nie.

W 1953 r. miałem pojechać do Bytowa i objąć tam stanowisko powiatowego sekretarza TPPR-u. Teleprogram z Koszalina głosił, że przewodniczący powinien wystawić mi delegację. Pożegnanie było uroczyste. Dzień przedtem, na posiedzeniu Zarządu, złożono mi podziękowanie za działalność polityczną i społeczną, za to, że nie liczyłem godzin ani pieniędzy.

Czułem się zaszczycony awansem. Powiedziałem żonie, że jadę, a jak dostanę mieszkanie, to ją ściągnę. My, członkowie Partii, musimy iść tam, gdzie nakazuje chwila. Zabrałem delegację i pojechałem do Ko-

szalina, tam bowiem krzyżowały się kolejowe drogi do Bytowa. W Zarządzie Wojewódzkim TPPR-u długo sekretarz Jaworowski zwlekał z wypłaceniem zaliczki. Ja nie chciałem wyjechać bez pieniędzy, bo przecież musiałem coś mieć na utrzymanie. Starał się mnie pozbyć. Ja nie wychodziłem z gmachu. Aż wreszcie, po długich targach, dał mi ze swojej portmonetki 300 złotych i wyszedłem. Ledwo przebyłem 20 kroków do rogu ulicy, już trzech cywilów podeszło do mnie.

— Pan Edward Paczkowski vel Apanel?

— Tak — odparłem.

— Proszę siadać do stojącego samochodu. Bez sprzeciwu tylko bo inaczej siłą weźmiemy.

— Siadę, ale pod warunkiem, że zawieziecie mnie do komendy UB w Koszalinie, inaczej nie zależy mi na życiu. Będę się bronił.

Urząd czy banda? — myślałem. I rzeczywiście podjechali pod Urząd Bezpieczeństwa. — No, widzi towarzyszu, jesteśmy już na miejscu. W gmachu już nie było „towarzyszy”, tylko „ty świnię!” Kawa na ławę. Czekałem godzinami na korytarzu. Ludziłem się, że wyjaśnią tę sprawę, że to jakieś nieporozumienie. A w domu czekała żona, pewna, że jestem w Bytowie i ją sprowadzę do siebie.

EDWARD APANEL  
Rys. STANISŁAW KEDZIELAWSKI



# z drugiej strony pompy

Sobota zaczęła się w stacji benzynowej nr 101 w Łomży normalnie. Rano czekanie na dostawę benzyny, później — zwykła, codzienna krzątania, może tylko bardziej nerwowa. Wiadomo: ludzie chcą odpocząć po tygodniu pracy, a wyczekiwanie w kolejce wywala w nich, nie wiedzieć skąd, nadmiar energii. Im bliżej końca pracy, tym atmosfera robi się bardziej gorąca. Jej temperaturę podnoszą jeszcze podjeżdżające pod prąd taksówki i inne uprzywilejowane pojazdy.

Zbliża się godzina 18.00 — pora zamknięcia stacji. Wśród stojących w kolejce rozlegają się prośby: — Sprzedawajcie jeszcze trochę, nie będziemy mieli jak wrócić do domu!

Zwykła zasada, że po godzinie osiemnastej tankują tylko pojazdy stojące na placu przed stacją, pod naporem coraz bardziej zdenerwowanych, rozgoryczonych ludzi — zostaje błyskawicznie złamana. Pracownicy stacji, Aleksander Chojnowski i Adam Celiński z trudem panują nad sytuacją. W końcu jednak, grubo po normalnych godzinach pracy, decydują się na jej zamknięcie. Ludzie oponują, przeszkadzają: z cierpliwie czekających w kolejce klientów zamieniają się w agresywny tłum. Sypią się wyzwiska: — Po co tu, skurwysyny, jesteście, skoro nie chcecie sprzedawać benzyny?

Obsługa stacji nie pozostaje nie innego, jak tylko prosić o pomoc milicję. Jej przybycie rozładowało sytuację, groźną zdemolowaniem stacji, i pozwoliło panom z obsługi zakończyć pracę.

Personel stacji w takich sytuacjach traci podwójnie. Praca, w porównaniu z okresem przedkryzysowym, stała się nie tylko nerwowa, ale także mniej płatna. Ostatnie ograniczenia jednorazowej sprzedaży benzyny (do samochodów o pojemności do 900 centymetrów sześciennych — 10 litrów, powyżej 900 — 20 litrów) wydłużyły kolejki i spowodowały, jeśli liczyć ilość obsługiwanych samochodów, pozorny wzrost sprzedaży. Ale tak naprawdę — sprawiły jedynie więcej zamieszania, bowiem poszły za nimi cięcia w dostawach, więc ten ciągły tłok na stacjach jest efektem podjeżdżania tych samych osób, które szybko wyjeżdżają skromnie dawkowany przydział. Obsługujący mają bez przerwy pełne ręce roboty z samym tankowaniem, a na dodatek muszą się bronić przed agresją klientów. Kierowcy nie rozumieją tzw... zaleceń ogólnych, i albo próbują dodatkowe litry wymusić, albo wyludzić. Wymyślają coraz to nowe powody, dla których powinni otrzymać benzynę.

Stanisława Rogowskiego, szefa zmiany w stacji przy ulicy Wiejskiej, zawsze dziwi wzrastająca, im bliżej godziny zamknięcia, ilość pogrzebów, nagłych wypadków, ciężkich chorób w domach klientów. Niejeden z kupujących usmiercił już prawie całą bliższą i dalszą rodzinę, aby tylko wykupić kilkanaście litrów benzyny. Chwytają się także innych sposo-

bów. Kiedyś zginął klucz od drzwi budynku stacji, ten „sprytny” podstęp miał zmusić obsługę do dłuższego sprzedawania benzyny. Trzeba było następnego dnia wymienić zamki.

Kryzys paliwowy spowodował znaczny wzrost ilości samochodów upoważnionych do zakupu benzyny poza kolejką. Rozumiem: karetki pogotowia, weterynaryjne, energetyczne, samochody dostawcze; inseminatory, lekarze weterynarii. Ale jest także wykaz rolników indywidualnych, którym przysługuje tankowanie poza kolejnością! Ostatnio wzrosła także liczba zezwoleń na zakup poza kolejnością, wydawanych przez Urząd Wojewódzki i Urząd Miasta w Łomży. Praktycznie biorąc, w tej chwili z trudem zapewne znalazłoby się parę przedsiębiorstw w mieście, które nie korzystają z tych uprawnień, nie mówiąc o osobach piastujących tzw. stanowiska. Tych ostatnich można by jeszcze zrozumieć: a nuż się spóźnią i zastaną swoje miejsce za ciepłym biurkiem zajęte przez kogo innego? A co z pozostałymi?

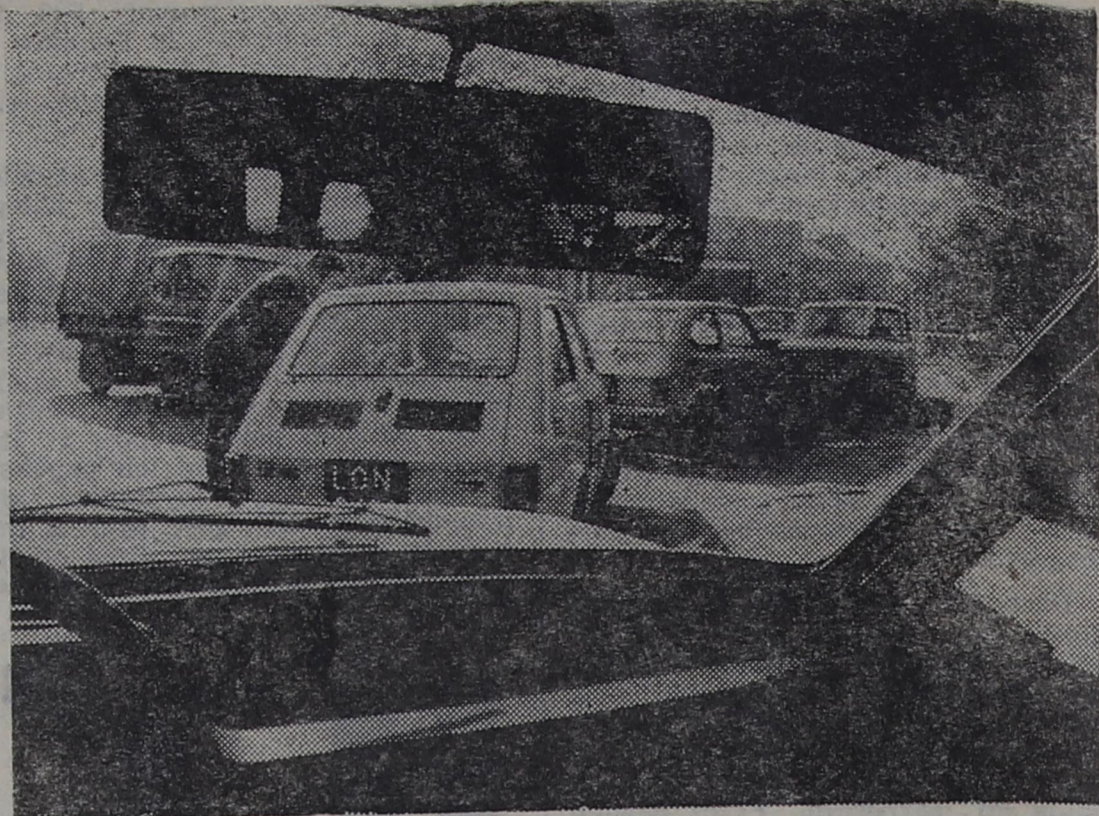
Sytuacja z każdym dniem staje się trudniejsza; kolejki rosną, dostawy maleją. Kierowcy pozbawieni przywilejów decydują się na zostawianie samochodów pod stacją, czekanie nocami. Dlatego drażni ich ciągłe podjeżdżanie taksówek, które, decydują wojewody, mogą pobierać benzynę nie tylko poza kolejnością, ale i z rezerwy. Decyzja ta dotyczy także, znacznie trudniej dzisiaj dostępnego oleju. Taksówkarze nie w pełni wykorzystują przyznany im, dwulitrowy, limit miesięczny. Nie więc dziwnego, że na moje pytanie w stacji, czy dostaną olej Selektol Specjal (w cenie 105 złotych za jeden litr), jeden z pracowników poradził mi, abym spróbował kupić go od taksówkarzy. — Oczywiście, po pięćset złotych, ale przynajmniej istnieje taka szansa...

Nie jest także do końca rozwiązana organizacyjnie sprawa zakupu przez taksówkarzy benzyny — wiadomo tylko, że mają oni pierwszeństwo i mogą korzystać z puli rezerwowej. Wprowadza to zdenerwowanie wśród kierowców, czekających w tasemcowych kolejkach. A może warto by, wzorem niektórych miast na Śląsku, mających tylko jedną stację benzynową, wprowadzić stałe godziny zaopatrywania taksówkarzy? Na przykład między 10.00 a 12.00. Łatwiej będzie wówczas prowadzić rejestr częstotliwości ich podjeżdżania i wyeliminować lichwiarską praktykę odstępowania paliwa różnym nieszczęśliwym po 50 złotych za litr.

Kryzys benzynowy spowodował powstanie nowej odmiany chomików — benzyniarzy. Gromadzą paliwo gdzie się da: zakopują w beczkach, przechowują w piwnicach. A tymczasem straż nie ma na czym jeździć do pożarów! Nie wiadomo też, czy nawet przy pełnych bakach od gaszenia by się zbytnio spieszyła — z obawy przed wybuchem, ukrytych w zabudowaniach prywatnych,

ny i olejów, ale — jeżdżą. Jeśli nawet nastąpiło pewne ograniczenie ruchu pojazdów, to jest ono trudno dostrzegalne, a już bezpieczeństwo (może raczej niebezpieczeństwo) wygląda wręcz zastraszająco. Dla przykładu: liczba śmiertelnych ofiar wypadków wzrosła o ponad 1/3, zaś rannych i samych wypadków — o 1/4. Podobnie rzecz się ma z pijakami na drogach, choć pół litra na głowę miesięcznie, to dawka dziecienna. Skąd tedy bierze się rosnąca stale rzesza pijanych?

Jeden z nich, 17-letni młodzien (nie mający własnej kartki na „wodę ognistą”), po przerastającej jego możliwości dawce gorzałki, usiłował na drodze w Wygodzie spróbować swych sił w starciu z przejeżdżającym fiakiem. Próba sił wykazała bezwzględnie przewagę małego samochodu nad dużym gierojem, który wylądował w oplakany stan na szpitalnym łóżku. Jedyne korzyści z owego zdarzenia jest chyba poprawa opinii o wytrzymałości malucha.



składów benzynowych. Ludzie głośno mówią o nowym cudzie: oto przy takich zapasach nie było jeszcze „fajerwerków”, a wystarczyłoby do niejednego bloku czy domku jednorodzinnego przytknąć zapalkę!

Sytuację panującą w stacji nr 101 przedstawia Adam Celiński: — Jeśli człowiek w jednym sklepie nie dostanie chleba, to trochę pokłnie i poczeka na dostawę albo pójdzie do drugiego. Od nas nie ma gdzie pójść, więc zaraz słyszymy: „Po cholere tu stoicie, zamiast sprzedawać benzynę!”

W stacji nr 26 w Piątnicy jest podobnie — jednak z małymi wyjątkami, ponieważ to jedyna stacja w województwie pracująca całą dobę, oprócz tego tylko ona zaopatruje rolników z okolic Łomży w olej napędowy.

I właśnie z olejem napędowym wiąże się największy kłopotów. Codziennym widokiem stał się długi sznur traktorów, ciągnących przyczepy załadowane beczkami na paliwo. Wiadomo, rolnik bardzo ceni czas, czekanie więc doprowadza go do przysłowiowej szewskiej pasji. Wprowadzenie ograniczenia (zamiast 200 — tylko 100 litrów oleju napędowego na dwa tygodnie!) wyzwoliło długo tłumiony gniew. Niewiele brakowało, a któregoś dnia personel zostałby pobity, zaś stacja — zdemolowana. Jakoś w końcu udało się zaopiecznić nieszczęśliwie, ale rozdzielnic-

two oleju napędowego nadal nie jest uporządkowane i w każdej chwili sytuacja może się powtórzyć.

Pracownicy stacji, Wojciech Bąkowski i Marek Zakrzewski uważają, że podwyżki cen paliwa nie mają żadnego wpływu na jego zużycie. Zwykle, po chwilowym jak gdyby szoku, ludzie kupują takie ilości, jak dawniej. Wszelkie ograniczenia także niewiele zmieniły sytuację. Jednorazowa dostawa — ok. 12 000 litrów — wystarcza im na 6—7 godzin pracy. Przez pozostałą część doby trzeba więc odmawiać sprzedaży benzyny coraz większej liczbie kierowców, także tym, którzy wracają do domów, odległych nieraz o kilkaset kilometrów.

Taki jest obraz pracy stacji benzynowych, zaopatrujących głównie stolicę województwa. Podobnie jest w pozostałych, tyle że mniej zatłoczonych. Próby usprawnienia sprzedaży benzyny podjęła się ostatnio telewizja. W sobotnim programie (31 X) usłyszeliśmy pięć propozycji wysuniętych przez rząd. Podczas druku tego numeru będzie już znana wersja przyjęta przez kierowców. Mimo to apelujemy, aby ci, którzy nie muszą jeździć, odstawili swoje samochody i poczekali, aż kłopoty z paliwem się skończą; aby nie hołdownali zasadzie: sam nie mam, to i drugiemu nie dam.

ZBIGNIEW HENCZEL  
Fot. GABOR LÖRINCZY

## w dolinie Biebrzy

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

na gruncie do niej należącym. Próbowaliśmy objaśnić wieśniakowi, że nie chodzi nam o zyski materialne, lecz o zabytki starożytności, które nie mogą mieć dla nich żadnej wartości. Chłopi odpowiedzieli nam dość logicznie, że nie są tak oświeceni, aby mogli wiedzieć, co dla kogo jaką wartość może mieć, ale to wiedzą, że po przedmioty bez wartości nikt by tak daleko nie jechał i przez takie moczary nie brodził. „Wiadomo — odezwał się także jeden z włościan — że krzemień do zapalania prochu służyć może, a teraz ludzie ze wszytkiego umięją robić dziwne rzeczy”. Z naładowanymi kieszeniami, a pomimo to z nosami bardzo dłu-

giemi, opuszczaliśmy ciekawą tę miejscowość. Chłopi zaś czekali na piaskach, sejmikując aż opuścimy ich terytorium. W łodzi dopiero zaczęliśmy rozpatrywać i podziwiać naszą zdobycz, wśród której znalazło się kilkanaście strzałek o kształtach bardzo pięknych i rzadkich, a trafiających się częściej tylko w zachodniej Europie. Wszystko to leżało na powierzchni ziemi. W głębi piasku nic byśmy już kopiąc nie znaleźli, co tem się tłumaczy, że z pagórków piaszczystych od czasów bardzo dawnych wiatr rozwiewa piasek na okoliczne błota i powoli unosi ciągle te wzgórki, pozostawiając na miejscu tylko krzemień, czerepy gliniane i kości.

Wybrał: ZENON PIECHOCIŃSKI

skrzyżowania  
skrzyżowania

odpryski  
kryzysu

A więc mamy pełnię kryzysu paliwowego. Niepoprawni optymiści sądzą, iż brak materiałów pędnych będzie miał choć jedną pozytywną konsekwencję: spadek natężenia ruchu kołowego, a co za tym idzie — malejące zagrożenie bezpieczeństwa. Ale teoria ta żadnego potwierdzenia w praktyce nie znalazła. Bo niby wszyscy narzekają, że nie ma benzy-

Inny pijacek usiłował podstawić nogę samochodowi, którego kierowca najwidoczniej nie znał się na żartach, bo wprawdzie nacisnął hamulec, lecz przed wystawioną nogą nie mógł zatrzymać. Zartownisiowi założono na pęczkę gustowny opatrunek gipsowy, a ZUS bez oporów płaci mu zasiłek chorobowy. Noga zaczyna się zrastać i są pełne szanse na optymistyczny finał — z jednym wyjątkiem: kierowca od czasu wypadku, na widok każdego pijaka zaczyna się jękać...

W stwarzaniu zagrożenia trzeźwi bynajmniej nie pozostają w tyle za pijanymi. Na falę modnych ostatnio protestów z powodu i bez powodu czy okupacji sklepów — biorą oni coraz częściej i bez żenady w posiadanie nie tylko cały chodnik, ale także jezdnię. Przywiezienie towaru do sklepu obuwniczego na ul. Giełczyńskiej dało tłumowi asumpt do całkowitego zatamowania ruchu kołowego, a frekwencję na jezdni robiły przede wszystkim mamy z ma-

łymi dziećmi, skutecznie odpychane od wejścia przez krzepką resztę towarzystwa.

Albo znów rolnicy, zagniewani brakiem oleju napędowego do ciągników, odpalili pokazową demonstrację, przybijając — na szczęście niezbyt licznie — na swych mechanicznych rumakach pod gmach Urzędu Wojewódzkiego i blokując dojazd na jego plac. Pikanterii owemu protestowi dodaje fakt, iż na ciągnikach i przyczepach aż roiło się od beczek na paliwo, a na jednej naliczono ich aż sześć, i to o pojemności od 100 do 200 litrów! I jak tu ma nie być braków paliwowych, jeśli każdy chce zakupić 1000 albo i więcej miarek?

Kółko się zamyka; coraz trudniej i mniej niebezpiecznie poruszać się po naszych drogach. Wygląda na to, że duża część ludzi zatraciła niemal zupełnie umiejętność logicznego rozumowania, przewidywania oraz liczenia.

DIŻURNY DROGOWSKAZ



**PIEKIELKO**  
PRZEDSTAWIA DRAMAT  
ADMINISTRACYJNY  
**DIABELSKIE**  
**OBRACHUNKI**  
**WYBORY**

SUPRASKI: — Kuliedzy, wszyscy na mnie zrobili huzia, a patrzajcie, jak jest gdzie indziej. Posłuchajcie aby!

(Włącza magnetofon)

PRZEWODNICZĄCY: — Koledzy! Na dzisiejszym zebraniu musimy wybrać przewodniczącego naszego Komitetu Wojewódzkiego.

NADZGAŁA: — Proponuję na to stanowisko kolegę Misia.

(Brawa, okrzyki)

WSZYSCY: — Niech żyje kolega Miś. Niech żyje! Niech żyje!

PRZEWODNICZĄCY: — Zaraz, chwileczkę, koledzy, teraz tak nie można. Musimy rozpatrzyć wszystkie za i przeciw. Kolego Nadzgała, macie jego teczkę personalną. Co z pochodzeniem?

NADZGAŁA: — Noo, jego ojciec miał gospodarstwo rolne, 300 hektarów, cztery fabryki...

PRZEWODNICZĄCY: — Znakoście, mamy więc pochodzenie robotniczo-chłopskie.

KOLEŻANKA BABA: — Owszem, owszem, nie powiem „tak”, nie powiem „nie”.

PRZEWODNICZĄCY: — A lata wojny? Co?

NADZGAŁA: — No, walczył w upa... i jak było zimno — też.

KOLEŻANKA BABA: — Owszem, nie powiem „tak”, nie powiem „nie”.

PRZEWODNICZĄCY: — Czy kolega Miś jest zdrowy? Bo jakby potem coś nie tego, to wiecie, znany w kraju kawał, jak udawać serca zawał.

NADZGAŁA: — Nie, nie, całkiem zdrowy. Ale jest jeden problem: z wykształceniem. Kolega Misiu, przepraszam, Miś skończył tylko szkołę powszechną.

PRZEWODNICZĄCY: — To żaden problem. Obecnie szkoła powszechna, to szkoła średnia, więc kolega Miś ma wykształcenie średnie, czyli niepełne wyższe.

KOLEŻANKA BABA: — Owszem, nie powiem „tak”, nie powiem „nie”.

PRZEWODNICZĄCY: — Czy są jakieś wnioski, kolego Nadzgała?

NADZGAŁA: — Chciałbym gorąco poprzeć kandydaturę kolegi Misia, bo nie ma on jeszcze willi, dwóch samochodów, strzelnicy, prywatnego konta w Zurychu, więc coś mu się od życia należy.

PRZEWODNICZĄCY: — W porządku. Teraz przeprowadzimy tajne i jednomyślne głosowanie. Kto za? (wszyscy podnoszą ręce). Proszę zwołać kolegę Misia. (wchodzi kolega Miś) Kolego, gratuluję! Zostaliście powołani na stanowisko przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Obchodów Dnia Hutnika-Kosmonauty.

LONGIN TOMASZ

GRATULUJĘ CI - MYSZUO,  
SUKCESU WYBORCZEGO.  
WIDZISZ, MÓJ MATEY, ZASTĄ-  
PIŁEŚ SKOMPROMITOWANEGO  
POPRZEDNIKA, NIEMNIEJ -  
TO MIĘDZY NAMI - W TWO-  
JEJ NOWEJ KADENCJI BĘ-  
DZIE ON NASZYM MECEN-  
NASEM, POPLECZNIKAMI  
KIEROWNIKIEM, SZEFEM  
I DORADCĄ. NO,  
NA DZISIAJ  
DOŚYĆ WRA-  
ZENI

J. URBAŃSKI



**Jak Asmodeusz wyręczył Maksyma**

Latós zaczęło w Maksymie coś okrutnie piszczeć, najmocniej z wieczora, po powrocie z pola i codziennym obrządku. Łaził wtedy po wsi i wpatrywał się w oświetlone prostokąty okien, a potem długo wysiadywał na przyzbie twarzą do księżycy. „Musi to nic innego, jak tylko Boża wola w nim się obudziła i piszczy” — odgadywali ludziska. Bali się, aby Maksym w głopotę jaką nie popadł, bo tego dobra było we wsi aż nadto. „Znalazłby sobie jakąś pannę, dał na zapowiedzi i miałby spokój” — radzili sąsiedzi. Ba, pewnie że by znalazł, gdyby chłopaków we wsi było mniej, i to we wszystkim lepszych od niego, a panien — jak na lekarstwo.

Aż którejś niedzieli gruchnęła po opłotkach wieść, że Maksym się codziennie nad potokiem z Maryną spotyka. Z Maryną? Toż to największa krasawica i najbogatsza partia we wsi! Tak sama z siebie na schadzki chodzi? Zauroczona chyba. Nic, tylko musiał jej coś zadać. Ale jak? Może przez to palenie kudłów spod własnej, zawsze lewej, pachy? Może za sprawą hecnych znaków, które wymalował węglem na rogach

swojej chaty? A może przez zakopanie czarnego kota pod starą wierzbą nad strumykiem? Tak czy siak — bez czarów się nie obeszło, bo Maryna już nawet jego próg zaczęła przestępować, bezbożnica jedna! No, by-



wał, że widywali ją niektórzy w stogu to z jednym, to z drugim, ale nikt zbytnio nie sobaczył, bo zadawała się z chłopakami na schwał. Co innego obmacywać się na sianie z Józkiem, a co innego do łózka tej biedoty i mizeroty Maksyma leżeć!

Gdy jednak sprawa przeciągnęła się już na sześć miesięcy, a Maryna niezmiennie każdą noc w chacie Maksyma spędzała, ludzie zaczęli popatrywać na niego innymi oczami: „Może on i niewydarzony, ale takiej dziewczuszki ukontentowanie dać potrafi”.

A i on przestał nagle od ludzi stronić i na lyczek gorzały do baru zachodził. Wypijał dwie albo i trzy miarki, ale nigdy więcej, i już po godzinie witał Marynę na progu swojej chaty. W rozmowy się nie wdawał, zaś chytre przepytówki kwitował także chytrym uśmieszkiem. Marynie jeszcze ciałniej usta sznurowało. Na nic zdały się krzyki i tłumaczenia rodziców, na marne poszła ciekawość rówieśnic. Pracowała w polu jak dawniej, ale każdego wieczoru, jak nakręcona, sunęła do Maksyma.

„Nie może tak być” — twardo powiedzieli chłopcy i uknuli, że stracą, ale prawdę od tych wiatrem podsztych portek wyciągną. I zdarzyło się,

że Maksym znów do baru zaszedł i nad szklanką głowę zwiesił. Pierw przysiadł się jeden, potem dwóch następnych, i dawaj chłopakowi dolewać, a do wypicia zapraszać. Minęła godzina jedna, druga, trzecia, a Maksym do domu się nie kwapił. Wreszcie któryś nie wytrzymał i z nagłą zagadał: — Pewnie dziś Maryna do ciebie nie przyszła, skoro ci do chłupy niepilno. A może tam już kto inny ją chędoży, bo to gorąca dziewczuchal!

W Maksyma jakby piorun strzelił. Jego rzadkie włosy podniosły się do góry, źrenice rozszerzyły się niemożliwie, a on sam wbił czarne paznokcie w blat stołu, zerwał się i... ryknął straszny śmiechem. Nie przestawał dziko rechotać ani w sieni, ani na drodze, a przed domem rechot przeszedł w ryk, następnie — w przeciągłe wycie.

Jego barowi kompani czym prędzej rozeszli się po domach. (zł)

**DONOS NR 24**

baniem galek ocznych. Oczywiście, przynajmniej ze względów higienicznych palce winny być czyste. Niestety, jest już dużo cwaniaków, którzy sądzą, że brud rąk da się zatuszować szybkim wydlubaniem oczu tym, co mogliby otworzyć usta. Słowem, kusy z kusym zawsze się dodrapie (do jątrzącego problemu).

**DODATEK ŚCIŚLE JAWNY**

**PRACA ZAWODOWA**

Wiedźmy stoją twardo na udeptanej ziemi i wyzywają (rzecz jasna, nie na pojedynkę, ale raczej relaksowo, po prostu — wyzywają). Poszła nawet fama, że urządziły one jakiś nowy postój miotłowego taxi. Pogłoska naturalnie została przesa-

dzona ze znanego ogrodu mitologii polskiej.

Magazynierzy twierdzą jednak, że nie będzie pełnego pokrycia na żyłki. Na wieść o tym natychmiast zaprotestował ostro — jak nieosiągalna żyłtka — inseminator, który publicznie oświadczył, że może pokrywać dniem, nocą i nawet w niedziele. Bliższe dochodzenie wykazało, iż typ jest dekarzem ze specjalizacją w kryciu papą.

Mimo powyższego — liczą się dobre chęci, i tym sposobem znaleźliśmy się w piekle centralnym, które wykoncypowało ostatnio genialny pomysł, godny nawet lauru, bo oszczędnościowy. Chodzi o gospodarność w gospodarce drewnem. Przykładowo: stawiamy parkan osłaniający planowaną budowę; kiedy parkan deszcz nam zgnoi, stawiamy nowy, a ten przekazujemy na płyty wiórowe, z których w fabryce mebli zro-

bią nam wspaniałe segmenty. No i — co tu kryć — jeszcze jeden problem gładko się rozwiąże. Kleju nie powinno zabraknąć. Najwyżej każe się stolarzom postrajkować i migiem będą nadwyżki.

**WYTYCZNE**

Isć, ciągle isć w stronę lady!

**WSKAZÓWKI**

Trzymać się kurczowo też trzeba z głową.

**TWÓRCZOŚĆ**

Pytała się pani pana: — Co to jest mąka ziemniaczana?

Z upoważnienia NSDW Czarnego vel Hańczaka do publicznej wiadomości podał **TADEUSZ CHARAMUSZKO**

**2. STAŁA SIĘ CIEMNOŚĆ**

POMYSŁ: **MARCIN WOLSKI**  
ADAPTACJA I RYS.: **JÓZEF BURNIEWICZ**

Ciemność stała się tak gęsta, że cała ekspedycja łącznie z adaptatorem i rysownikiem, Józefem Burniewiczem, zaginęła w niej całkowicie. Co będzie z nimi dalej — o tym, być może, dowiemy się za tydzień.

POKUSY pod redakcją Andrzeja Koziary organ samoistny POKUSY